

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 13 kwietnia 1952 r.

Nr 15 (333)

W NUMERZE m. in.:

W. KĘTRZYŃSKI—Pokusa integralizmu

W. PIENKOWSKA — Wysłkłem mózgow, rąk i serc

W. OSTROWSKI—Sen o Krzyżu

J. DOBRACZYŃSKI — Noc w szpitalu

A. LANDSDORF—Z psychologii późnego średniowiecza

Wielogłos o „Młodości Chopina“

Święto zwycięskiej nadziei

OTO dzień, który nam Pan zgotował: weselmy się nim i radujmy (Ps. 117,24).

Dzień ten jest świętem zwycięskiej nadziei. Była tragedia i cierpienie, męka Golgoty i zmierzch okrutny nad Krzyżem, dźwigającym bolesny ciężar Odkupienia, a oto nadszedł świt nad odwalonym kamieniem grobowca.

Dnia tego trzy niewiasty „przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły między sobą: kto nam odwali kamień od wejścia do grobu? Spojrzawszy jednak zobaczyły, że kamień jest odwalony; a był on bardzo wielki. A wszedłszy do grobu zobaczyły młodzieńca siedzącego po prawej stronie, odzianego w szatę białą i zdumiały się...“ (Marek, 16, 1—7).

Po dwóch tysiącach lat, które upłynęły od tamtej chwili, zdumiewamy się pełnią najgłębszego wzruszenia. Dwie czerwone kartki kalendara nie są zapisem rytualnych konieczności, lecz żywą prawdą nadziei przekazywanej nam od stuleci przez Kościół. „Rok liturgiczny nie jest zimnym i suchym przedstawieniem spraw dotyczących się minionych czasów, ani też pustym i bezowocnym przypomnieniem wypadków z dawnych wieków...“ (Pius XII, Encyklika „Mediator Dei“, 1947). Rytm świąt kościelnych, ich wewnętrzne zespolenie, utajona dynamika i pełnia jest rytmem tętniącej w Kościele prawdy, jest pulsem świata.

Po dniach żalu i smutku, po czernej żałoby bujną radością rozkwita odwieczna wiosna Kościoła. Mówmy o niej bez panteistycznych mglistości, bez nadużywania analogii z przyrodą, która odżywa zielenią drzew i narbrzmiewa sokami nierozkwitłych jeszcze kwiatów. Mówmy o wiosnie Kościoła bez sztucznych poetyczności, bez porównań zaczerpniętych z pachnącego zielnika budzących się do nowego rozkwitu pól i łąk. Te porównania i te zgodności są prawdziwe, lecz wtórne. Nie w ich uczuciowej, nie w ich sentymentalnej prawdzie leży treść istotnego wzruszenia świętem zwycięskiej nadziei.

Wielkanoc to nie bazie, nie ruń zielona wokół cukrowego baranka, nie huk dzwonów i odgłos rezurekcyjnych wystrzałów, nie dyngusowa uciecha pogańskiego zwiastowania pogańskiej wiosny.

Wiosna Kościoła to przede wszystkim proklamacja zwycięstwa dobroci i miłości nad nienawiścią i złem, to manifest nadziei, która zwyciężyła cierpienie, to święto chrześcijaństwa radosnego. Nasze zdumienie i szczęście musi być w dniach tego święta i we wszystkich dniach naszego życia równie głębokie i prawdziwe jak zdumienie i szczęście tamtych trzech

niewiast, ale jednocześnie musi być mądrzejsze od tamtego zdumienia i szczęścia o prawie dwa tysiące lat.

Nigdy za mało przypominania tej mądrości. Każde święto przede wszystkim tę mądrość winno w nas utwierdzać i pogłębiać. Jest to mądrość pełnego widzenia i pełnego przeżywania wszystkich prawd w świetle chrześcijaństwa. Mądrość ta polega na uczestnictwie powagi cierpienia w dynamice radości i na uczestnictwie dynamiki radosnej nadziei w trudach cierpienia. Świętując rocznicę dnia, w którym odwalony kamień zdziwił Marię Magdalenę i Marię Jakubową i Marię Salome, święcimy triumf nadziei zrealizowanej.

Cieszymy się tym triumfem. Czerpiemy siły z tej realizacji. Radość ta i siła powinna wypełniać nas po brzegi, powinna podnosić nas z największych upadków i wspierać w największym utrudzeniu.

Powinniśmy być żywym zaprzeczeniem równie namiętnych jak i bezsensownych filipik o ponurości chry-

stianizmu, o mrocznej katakumbowości jego klimatu, o cierpiętniczej melancholii jego filozofii. Nasze „alleluja“ to nie tylko fonetyczny zlepek miękkich zgłosek, to nie tylko sielski nadruzek na kartce pocztowej z zajączkiem czy barwnymi pisankami. To śpiew radości, którą niesie chrześcijaństwo, radości wyzwolenia z więzów najtragiczniejszych, bo więzów śmierci, radości zrzucenia ciężarów największych, bo ciężarów grzechu. Do tej radości mamy prawo dzięki Chrystusowi. Ta radość stanowi o największej sile i najbardziej zniewalającym uroku Jego nauki. Bez tej radości cała nauka Jego byłaby pomyłką, byłaby po prostu jeszcze jedną hipotezą historyzoficzną jeszcze jednego fałszywego proroka. Ta radość jest bowiem radością zbawienia.

Ale tylko wtedy będzie pełna, tylko wtedy będzie prawdziwa i twórcza, tylko wtedy będzie prowadziła nas do Boga, jeśli nie osłabnie w nas nigdy pamięć o cenie realizowania nadziei, o zapłacie za radość jej zwy-

cięstwa, o mocy odwalającej grobowe kamienie. Tą ceną była męka, tą zapłatą było życie Boga-Człowieka, tą mocą była miłość Chrystusowa. Dopiero w integralnym ujęciu i przeżyciu tych wewnętrznych zależności odnajdujemy prawo do istotnego uczestnictwa w święcie nadziei zwyżskiej.

To integralne ujmowanie i przeżywanie wewnętrznej dialektyki radości i cierpienia jest niemożliwe w sferze wyłącznie emocjonalnej, w sferze wzruszeń wyłącznie uczuciowych. Trudno jednocześnie i uśmiechać się uśmiechem pełnym pogody i zaciskać zęby skurczem bólu trudnego do opanowania. Integralny związek naszej radości z naszym cierpieniem funkcjonuje przede wszystkim dzięki świadomej ocenie i świadomej, intelektualnej analizie prawa przyczyny i skutku, prawa naczyń połączonych. Do tej analizy nie są potrzebne precyzyjne narzędzia filozofa-erudyty. Człowiek prosty, lecz o sercu wypełnionym gorącym pragnieniem poznania Chrystusa,

poznaje te prawa z Jego historii, zrozumie ich wielki sens, gdy wczyta się w koleje Tamtego Życia, które z nieba zstąpiło do miłośnicy Judzkiej, by skwarnymi szlakami Palestyny dojść na wzgórze Golgoty, a stamtąd po odwaleniu grobowego kamienia — zagarnawszy na wieczne władanie ludzką — wrócić do nieba. Trzeba jednak odczytać i przemyśleć tę historię jako całość, by cieszyć się w sposób właściwy przypadającym na dzisiaj świętem rocznicy zmartwychwstania.

Takiego święta nie ma poza chrześcijaństwem. Jest to święto zwycięstwa nad śmiercią. Jest to otwarcie przed nami, małymi, uwikłanymi w tysiące śmieśnizostek — oszałamiającej, zapierającej oddech w piersiach perspektywy nieśmiertelności.

Nie łudźmy się, że zasłużymy na nią w pełni, że dojrzymy do niej w trudzie choćby najwytrwalszej walki o swoją doskonałość, o swój awans duchowy. Zawsze jest ona i zawsze będzie darem ponad zasługę, zawsze będzie niewyraźną ilością razy przewyższającą walor naszego trudu podnoszenia samych siebie ku Bogu.

Nasza zasługa wobec Boga zawsze jest tylko potwierdzeniem naszej wobec Boga małości. Choćbyśmy ze szczytów najwyższej świętyni wyciągali dłonie, jeśli On się nie schyli — będziemy w najgłębszej przepaści. Ale On jest zawsze ku nam pochyłony. Dlatego zawsze wystarcza wyciągnięcie dłoni ku Niemu. I zawsze jest to tylko dowodem Jego głębokiego nad nami pochylenia, a nie naszego wspięcia się ku Niemu.

Dlatego święto Wielkanocy jest także świętem wszechgromu miłosierdzia. Wielki dysponent tego skarbu zwrócił na nas uwagę. Oddał nam skarb. Sam nam go przyniósł. Sam nas do niego namawia. Jest z nami ciągle, byśmy o wielkości tego skarbu wiedzieli jak najwięcej i cenili go jak najgłębiej i jak najmądrzej. Zrozumieć to i przeżyć — znaczy dojść do sedna radości świąt dzisiejszych.

Porównania stają się wtedy pomniejszeniem. Analogie — błędem zestawiania spraw nieporównywalnych. Poetyczności i panteistyczności o wiosnie, zieleni, bujnym rozkwicie mówią część prawdy tak znikomą, jak znikomą częścią wszechświata jest listek tętniący nowymi sokami.

Jedynym co pozostaje dla wyrażenia prawdy świąt zwycięskiej nadziei, to norwidowska modlitwa najgłębszego milczenia lub modlitwa słów najprostszych z gradułu niedzieli wielkanocnej: „Oto dzień, który nam Pan zgotował, weselmy się więc i radujmy. Dzięki zwyciężeniu Panu, bo jest dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego“.



Obraz nieznanego malarza wiedeńskiego (1324-29).

W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO
WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM
SERDECZNE ŻYCZENIA SKŁADA

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

„DZIŚ I JUTRO“



Dorozmawiamy...



W DNIACH Wielkiego Postu otrzymaliśmy pośród wielu innych trzy listy dotyczące niemal tej samej sprawy. Listy pochodzą z różnych stron Polski (Krakowa, Płocka i Warszawy) i były pisane przez trzy osoby zajmujące różne stanowiska (księdza, bibliotkarkę i studenta). Wydaje nam się, że w okresie Wielkanocy warto te listy połączyć w jednej odpowiedzi, gdyż wspólna im sprawa jest bardzo ważna i nader aktualna. Nie jest rzeczą przypadkiem, że troje naszych czytelników bez wzajemnego porozumienia czy zmyślenia porusza tę sprawę właśnie dzisiaj i to prawie od tej samej strony, prawie w ten sam sposób.

Jakaż to sprawa? O co chodzi? Chodzi o niebezpieczeństwo zwiększenia przez katolików życia religijnego do ram kultu. Chodzi jednocześnie o spycanie kultu do manifestacyjności religijnej, do konwencjonalnej i wyłącznie międzyludzkiej wymowy zewnętrznej gestu, zewnętrznej postawy wobec ustalonego rytuału, ustalonych, niejako oficjalnych, jakoby nie obowiązujących do wewnętrznego rezonansu konieczności kalendarzowo-liturgicznych.

Wielebny ksiądz K. T. pisze:

„W ostatnim czasie w ramach swojej skromnej parafii śledzić mogłem wzrastające zainteresowanie, wzrastający kontakt z rytmem nabożeństw, nawet tak „niemodnych” jak nowenny czy Gorkie Zale. Jednocześnie wszakże wiedza o ludziach i o ich życiu wewnętrznym, wiedza dostępna tylko kapłanowi każe mi stwierdzić, że procesowi temu nie towarzyszy równoległe wewnętrzne uintensywnianie życia religijnego. Raczej — przeciwnie. Nie chcę być pesymistą, nie wolno mi uogólniać. Łaska najdziwniejszymi drogami przenika do człowieka. Ale wydaje mi się, że problem, który sygnalizuję, chociaż jest przede wszystkim problemem zobowiązującym do wzmożonej pracy duszpasterskiej kapłanów, musi i powinien stać się także problemem mobilizującym do wydawniejszej i ambitniejszej pracy katolików świeckich, a zwłaszcza pisma katolickie.”

W liście studenta Z. B. znajdujemy fragment, będący jak gdyby streszczeniem wywodu księdza K. T.:

„Coraz więcej modlimy się ustami, coraz mniej sercem. Coraz chętniej i skorzej zdejmujemy czapkę przed kościołem, coraz mniej i niechętniej zwalamy przed nim swoje grzechy. To powinno zastanowić. Powinno zaniepokoić. Niechaj ten niepokój będzie twórczy.”

Pani W. L. natomiast stwierdza: „Od kilkunastu dni w kręgu moich znajomych przygotowuje się Grób Pański na okres przedwielkanocny. Kwiaty, gipsowe figurki, świece, draperie. Czerwona czy fioletowa? Z krepki czy pluszu? Światła z boku czy z góry? Oto pytania. A co stanie się ze światłem od wewnątrz? Światłem w nas samych? Czy nie przygasa ono w nas wobec lichego światła skrzętnie zbieranych po sąsiadkach świec?”

Oczywiście, musimy zdawać sobie sprawę z tego, by wymowa tak ustawionych listów nie stała się zbyt jednostronna. Nie chodzi o zlekceważenie kultu, przeciwnie: chodzi o przywrócenie mu walorów wewnętrznych. Nie chodzi także o fałszywe w bezgranicznym pesymizmie diagnozy. Istotnie — Łaska najdziwniejszymi drogami — jak pisze ksiądz K. T. O życiu wewnętrznym bardzo mało można powiedzieć zdaniami sprawdzalnymi. Ale nie wolno lekceważyć procesu, który sygnalizuje nam istotne niebezpieczeństwo.

Nie czas tu i nie miejsce na dokładne analizy. Listy zacytowane stać się powinny inicjacją nie tylko wielkanocnych rozważań. Po to je tu wspominamy. Dalszy ciąg rozmowy na ten temat jest w każdym z nas. Ale trzy bezporne twierdzenia stają przed nami.

Pierwsze: życie religijne katolików nigdy nie zmieści się w ramach choćby najgłębiej pojmowanego kultu.

Drugie: kult nigdy nie jest międzyludzką manifestacją religijności, lecz zawsze powinien być wyrazem wewnętrznej gotowości życia w Bogu.

Trzecie: te sprawy i ich realizacja obowiązują nie tylko duszpasterzy, ale każde środowisko publicystyczne, każde pismo katolickie. Zobowiązują więc i nas.

Warto jednak zastanowić się w jaki sposób zobowiązanie to realizować się może i powinno na łamach ogólnopolskich pism katolickich.

Zagadnienie katolickich pism prowincjonalnych jest zagadnieniem odrębnym. Posiadają one i bardziej określonego adresata i węższy krąg tematów, domagających się omówień. Ułatwia to tym pismom pracę nad pogłębieniem problematyki religijnej, co bynajmniej nie znaczy jeszcze, że zadanie mają łatwe i że wykonują je w pełni i bezbłędnie. Przeciwnie: na pisma te czyha zmora zaściankowego ducha zakrystyjnego, który jeszcze zbyt często odnosi smutne zwycięstwa. Do sprawy tej przyjdzie niejednokrotnie wrócić. Tutaj mogliśmy ją tylko zaznaczyć w dygresji. W tej chwili chodzi przede wszystkim o sposoby realizowania przez ogólnopolskie pisma katolickie zadania intensyfikacji i pogłębienia życia religijnego.

Najogólniejsze, lecz nie ogólnikowe przemyślenie tej kwestii prowadzi do jednego wniosku postulatycznego, który powinien stać się wytyczną konkretnej działalności.

Ponieważ pisma katolickie o zasięgu ogólnopolskim skupiają lub kontaktują się najbezpośredniej z czołowymi siłami intelektualnymi katolicyzmu polskiego czy środowisk katolickich zagranicą, ponieważ dla życia religijnego najgroźniejszą w dzisiejszych czasach jest skaza antyintelektualnego fideizmu — naczelnym zadaniem wydaje się praca nad intelektualnym pogłębieniem nurtu życia religijnego, nad ufizycznieniem jego przejawów, co nie może równać się ostudzeniu żarliwości wiary, lecz służyć powinno poszerzeniu jej o myśl szeroką, daleko sięgającą i głęboko przenikającą.

Wniosek ten jest niemal truizmem. Ale czytając listy księdza K. T., pani W. L. i młodego B. Z. wierzyć możemy, że w tej pracy zetknemy się z życzliwszą jeszcze niż do tej pory pomocą i współpracą.

Gdy kapitalista występuje przeciw interesom wojennym

„Action“ z dnia 21—27.III. 1952 r. zamieszcza ciekawą wypowiedź barona Antoine Allard kapitalisty belgijskiego, jednego z twórców belgijskiego Ruchu Obrótców Pokoju.

Dnia 28 lutego 1952 r. na konferencji zarządu jednego z wielkich towarzystw akcyjnych w Brukseli podano do wiadomości, że firma otrzymała zamówienie na poważne roboty przy budowie 400 ośrodków lotniczych dla Belgii, Francji i Hiszpanii. Zamówienie zrobione zostało przez Amerykanów, a treść umowy pozwała przypuszczać, iż omawiana firma otrzyma kierownictwo całości prac związanych z planami mocodawców. Ponieważ stan bieżących zamówień okazał się dość słaby nowe zamówienie, zdaniem mówcy, było doskonałym interesem, toteż natychmiast należało nawiązać kontakty z lotniczym sztabem amerykańskim mieszczącym się w Wiesbaden.

Wtedy przemówił Antoine Allard, członek zarządu tego towarzystwa: „Panie przewodniczący, chciałbym wiedzieć, jakie byłoby stanowisko zarządu gdybym oświadczył, iż przeciwny jestem, aby nasze towarzystwo podjęło się tej pracy, uważam ją bowiem za współdziałanie w przygotowaniu wojny?”

Ponieważ jedyną odpowiedzią było lekceważące wzruszenie ramion Allard mówił dalej:

„Panowie, ponieważ większości z was znana jest moja działalność, której celem jest zwalczanie idei wojny i przeciwstawianie się wszelkim jej przygotowaniom, rozumiem chyba że nie mogę wziąć udziału w pracy, której cele biegunowo różnią się od tych, jakim staram się służyć. Proszę więc Panów o przyjęcie mojej dymisji.”

„Jako jeden z dyrektorów — stwierdza Allard, komentując swoje oświadczenie — czułem się współodpowiedzialny za działalność naszego towarzystwa. Moim obowiązkiem było przestrzec kolegów, że to czego żądano od naszego towarzystwa porównać można do działalności firmy Krupp i Sp. w okresie międzywojennym. Działalność ta sprawiła, że kilku przemysłowców oskarżono przed Trybunałem Norwimberskim jako winnych „Zbrodni Przeciwko Pokojowi”. Nie chciałbym, aby nasze towarzystwo postępowało w podobny sposób i uległo temu samemu losowi.”

Następnie Allard zwrócił się z apelem do robotników, którzy otrzymają polecenie pracy przy budowie nowych terenów lotniczych, aby zastanowili się jak mogą się temu przeciwstawić. Proponował również właścicielom terenów potrzebnych dla przeprowadzenia tych gigantycznych robót, aby odmówili ekspropriacji. Ufał, że jego własny przykład pomoże im w walce przeciwko świadomym czy nieświadomym podlegaczom wojennym.

„Jestem synem bankiera — stwierdza Allard — nie potrzebuję dodawać, iż nie jestem komunistą; jestem praktykującym katolikiem, byłem sanitariuszem armii francuskiej i armii pld.-afrykańskiej i z całym poczuciem odpowiedzialności podaję to oświadczenie do wiadomości publicznej.”

„Dlaczego tak postąpiłem? — komentuje Allard swoje oświadczenie — po prostu dlatego, że jestem chrześcijaninem, a dla dyrektora chrześcijańskiego towarzystwa jedynym obowiązkiem jest praca dla dobra przedsiębiorstwa czyli nie tylko dla zysku akcjonariuszy, ale również robotników w nim pracujących i osób które będą przystać z produktami jego pracy... Pragnę aby wszyscy zrozumieli i uznali, że w interesach obowiązują prawo moralne. Innymi słowy działalność żadnego Hitlera nie byłaby możliwa bez współdziałania uczonych. Kruppów i pomniejszych kapitalistów. Musimy mieć odwagę, której żądał Gandhi, i nie współdziałać ze złem. Tu właśnie leży powód mojego podania się do dymisji.”

„A teraz pewna uwaga z dziedziny społecznej: kraje zachodnie z łatwością mogą podnieść stopę życiową mas pracujących. Dlaczego my nie mielibyśmy tego uczynić? Największą przeszkodą na drodze do lepszego wzajemnego zrozumienia są ci, którzy mają za dużo, i nie chcą się z nikim podzielić. Jest to również prawdziwe dla wewnętrznych stosunków w poszczególnych krajach jak i dla stosunków między państwami, z których jedne są bogatsze, mają lepiej rozwinięty przemysł a inne wciąż jeszcze tkwią w zacofaniu gospodarczym.”

„Od tych, którzy nie mają nic nie można wymagać by dzielili się z innymi, jest to bowiem obowiązkiem tych którzy posiadają. Jakimże pokojem moglibyśmy się cieszyć, gdy-

by ci posiadający usłuchali wreszcie nawoływań Chrystusa i szukali przede wszystkim sprawiedliwości. Nie istnieje żaden powód dla którego masy miałyby być zawsze wykorzystywane przez garstkę bogaczy. Absurdem byłoby gdyby nie istniała inna praca prócz prowadzącej do zniszczenia i obniżającej poziom życia ludzkiego. Ale najpierw nawrócić się muszą dyrektorzy przedsiębiorstw.”

„Trzeba by chrześcijańskie nawyki i zgodzili się z ideą nowego społeczeństwa, w którym wszyscy byłiby sobie braćmi i tr nie tylko na papierze. Zastąpmy nasze tchórzostwo przez odwagę i ufajmy w pomoc Ducha a potrafimy podejmować konieczne ryzyko.”

Na zakończenie artykułu „Action“ cytuje następujące słowa Antoine Allard: „Trzeba by każdy z nas swoim środowisku zajął zdecydowanie wrogą postawę wobec idei wojny. Przewodniczący nasz Joliot-Curie kategorię odmówił, aby wleża jego służba wojnie, teraz my, przemysłowcy i robotnicy, nauczyć się nie musimy, ale musimy być gotowi do samych.”

W. U.

Podajemy do wiadomości naszych czytelników o charakterystyczne i odważne wystąpienie belgijskiego katolika — kapitalisty. Antoine Allard nie po raz pierwszy protestuje przeciw wojennej i agresywnej polityce międzynarodowego kapitalizmu. Z całym szacunkiem odnosząc się do konsekwentnych poglądów p. Allard musimy jednak stwierdzić, że apele jego nie znajdują żadnego odzwierciedlenia w belgijskich kołach kapitalistycznych nie wrażliwych na zasady chrześcijańskiej moralności. Tylko postawa mas pracujących, do których wreszcie odwołuje się i Allard może zahamować kapitalistyczne przygotowania wojenne.

Sądymy, że Allard nie nie wskóra i nie nawróci kapitalistów belgijskich na swe ideały pokojowe i chrześcijańskie. Niemniej uważamy, że postawa katolika, aktywisty ruchu pokoju, który należąc do środowiska typowo kapitalistycznego odważnie potępia ideologię wojenną — zasługuje na pozytywne pokwitowanie, choćby dlatego tylko, że istotnie Allard płaci własną osobą za swą ideologiczną i moralną bezkompromisowość.

Red.

NOTATNIK POLITYCZNY

Polityka konsekwencji

Stanowisko ZSRR w sprawie warunków pokojowego współistnienia dwu odmiennych systemów społeczno-gospodarczych było już niejednokrotnie precyzowane. Dlatego też odpowiedź szefa rządu radzieckiego na pytania zadane mu przez grupę redaktorów gazet amerykańskich jest dobitnym potwierdzeniem tego nie nowych. W tonie tropiącej wszędzie sensację prasy mieszczańskiej wyuczono można było nawet pewne rozczarowanie z tego powodu. Zachodni komentatorzy bezskutecznie poddawali żmudnej analizie lapidarny tekst oświadczenia Stalina i tylko niektórzy z nich zadali sobie trud rozpatrywania sformułowań radzieckich w ścisłym związku z aktualnymi wydarzeniami politycznymi. Tymczasem zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tu i tylko tu tkwi sedno zagadnienia. Zarówno ostatnia wymiana not między ZSRR a mocarstwami zachodnimi, jak i Moskiewska Konferencja Gospodarcza stwarzają ostatecznie zrozumiałe tło dla radzieckiego wystąpienia.

Stuszenie przywykliśmy traktować każdą enuncjację Józefa Stalina jako sygnał wypuklający polityczną wagę określonych faktów w dziedzinie międzynarodowej lub wewnętrznie radzieckiej. I tym razem wystąpienie szefa rządu ZSRR ma na celu uświadomienie światu doniosłości pewnych zagadnień pozornie tylko szczegółowych a w rzeczywistości stanowiących zwężone uogólnienie problematy-

ki najbardziej zasadniczej. Oświadczenie Stalina, że trzecia wojna światowa nie jest bynajmniej obecnie bliższa niż przed dwoma czy trzema laty, jest istotnie zimnym prysznicem na rozegzaltowaną wyobraźnię tych amerykańskich wyborców, którzy rezygnację Trumana i ostatni wojowniczy raport Eisenhowera chcieliby uważać za niedwuznaczny prognostyk nieuniknionego konfliktu. Nie zapomnijmy bowiem, że wojenna psychologia stanowi w amerykańskiej kampanii przedwyborczej najsilniejszy atut kandydatów ubiegających się o władzę.

I oto, strona bezpośrednio zaangażowana i współdecydująca o przyszłym rozwoju międzynarodowych wypadków nie waha się zakłócić sprzysiężenia atomowych demurgów. Nie dość na tym, Józef Stalin nadal dopuszcza możliwość pożyteczności spotkania szefów wielkich mocarstw.

Podkreślamy: nie pewność, a właśnie możliwość. Bo w momencie wzrastającego znaczenia światowego Ruchu Obrótców Pokoju, w momencie gdy rządy krajów kapitalistycznych, chcąc nie chcąc muszą się coraz poważniej liczyć z opinią narodów, taka czy inna postawa szefów państw zachodnich coraz wyraźniej przestaje być czynnikiem decydującym. Jednak rzeczywiste dążenie do pokoju nie może pominąć żadnej szansy złagodzenia konfliktu, toteż Stalin nie cofa wyciągniętej ręki i furtka dla

spotkania Wielkiej Czwórki stoi nadal otworem.

Wymowną ilustracją tej postawy spokoju i opanowania, którą w pełni uzasadnia świadomość własnej siły — są słowa Stalina o możliwości pokojowego współistnienia socjalizmu i kapitalizmu. W tym ponownym autoritarnym stwierdzeniu znanego stanowiska Związku Radzieckiego, zachodni ekonomiści i finansjści, którzy wbrew surowym napomnieniom swoich reżimów uczestniczą w moskiewskich obradach, zyskują potężne zaplecze dla obranej przez nich drogi roztropnego kompromisu. Dodatkowym natomiast poparciem dla postulatów wysuniętych w nocie radzieckiej w kwestii Niemiec jest opinia wyrażona przez Stalina w odpowiedzi na trzecie pytanie grupy amerykańskich redaktorów. Oświadcza, że uważa chwilę obecną za odpowiednią dla zjednoczenia Niemiec Stalin określił jednocześnie stosunek rządu radzieckiego do prób odłożenia tej sprawy ad calendas graecas, które to próby aż nadto widocznie wynikały z odpowiedzi mocarstw zachodnich na notę radziecką.



Wojciech KETRZYŃSKI

POKUSA INTEGRYZMU



MSL katolicka w Polsce w chwili obecnej znajduje się bez wątpienia w tym okresie, gdy łatwiej jej bronić prawdy o Bogu Osobowym i Wszecmocy przy pomocy spekulacji teologicznej, niż przy pomocy konfrontacji chrześcijańskich i niechrześcijańskich zasad interpretacji historycznego rozwoju ludzkości.*)

Najdalszy jestem od chęci podważenia tym stwierdzeniem merytorycznej wagi dzieła teologów. Chcę jednak stwierdzić, że to, co stanowi dziś oś zainteresowań i prac teologicznych, służy raczej do wewnętrznego umacniania własnego systemu pojęć, zabezpieczenia integralności rozwoju myśli katolickiej. Dzieło to jest na pewno potrzebne. Nie jest ono jednak samo w sobie dostatecznie komunikatywne, by mogło stanowić podstawę dla chrześcijańskiego apostołatu. Nie operuje ono tym językiem, którym winien mówić katolik niewierzącym o Bogu. Trzeba sobie też uzmysłwić, iż nie wolno nam dopuszczać do istnienia sugestii, że chrystianizm pragnie się uchylić od spotkania na płaszczyźnie dyskusji o doczesności. Byłoby to karygodnym błędem!

Zbyt często w ustach katolickich intelektualistów słowo BOG nabiera cech gołosłownego, werbalnego argumentu, gdyż nie umiemy o Nim mówić z perspektywy naszej, dzisiejszej rzeczywistości.

Katolik małej wiary milknie stropiony, gdy usłyszy rzucony mu w dyskusji przez niewierzącego argument: „Gdyby wasz Bóg istniał naprawdę — nie dopuściłby przecież, by losy świata (a katolicyzmu w świecie w szczególności) toczyły się w tym kierunku, w którym się toczą”.

Milczy, gdyż sam nie umie wyłomaczyć sobie zagadki współczesnego nurtu świata w zgodności z założeniami chrystianizmu. Milczy, tak jak gdyby zapomniał, że przecież Bóg stał się Człowiekiem, swym życiem ludzkim odkupił nasze grzechy, że jest wśród nas w codzienności naszego życia, tak jak jest wśród ludzkości w każdym dniu jej dziejów. Przeintelektualizowanie naszej apologetyki jest nie mniej niebezpieczne niż sentymentalizm czy fideizm, budzący wśród niewierzących drwiące docinki.

Katolik, pochylający się nad dziejami ludzkości, pragnący odkryć światłość, którą Bóg obdarzył naszą rzeczywistość, musi niewątpliwie umieć posługiwać się jak najbardziej precyzyjnie całym współczesnym aparatem intelektualnym. Nie wolno mu bynajmniej, w przeświadczeniu, że upoważnia go do tego jego wiara nadprzyrodzona, interpretować historię po dyletancku czy w oparciu o abstrakcyjne, wymagowane teorie. Stąd więc, w ocenie przeszłości czy teraźniejszości, w formułowaniu społecznych, kulturalnych postulatów katolickich, musimy się stale upominać o znacznie bardziej naukowe, realistyczne podejście niż to dotąd miało miejsce. Jednocześnie musimy: nie mniej kategorię apelować do pisarzy i myślicieli katolickich, by w swych rozważaniach nad rozwojem ludzkości kładli większy nacisk na pełne najgłębszej treści słowo OPATRZNOŚĆ. Wykazując w sposób ścisły i naukowy katolicki sens tego wszystkiego, co się wokół dzieje, udowadniamy dopiero, że to słowo — OPATRZNOŚĆ — nie brzmi w naszych ustach pustym frazesem.

Najpoważniejszym chyba niebezpieczeństwem zagrażającym tym, co poszukują chrześcijańskiego sensu dziejów ludzkości, jest przejawiająca się w myśli katolickiej skłonność do zacierania właściwej linii granicznej między doczesnością a nadprzyrodzonością, między transcendentnym

Kościółem, a doczesnym światem katolickim, między wieczną doktryną Kościoła, a światopoglądem danej, historycznej formacji katolików, między nadprzyrodzonymi a doczesnymi dziejami człowieka.

Ten, kto chciałby widzieć Kościół bez tej intelektualnej i socjologicznej otoczki, widziałby w istocie Kościół bez ciała, Kościół czysto duchowy, którego zakorzenie się w doczesności byłoby co najwyżej fikcją umowną. „Byłoby oddalaniem się od boskiej prawdy, ostrzega nas Pius XII, wyobrażać sobie Kościół, który byłby niewidzialny, niedotykalny, który byłby tylko duchowy”.

Ten, kto chciałby dostrzegać tylko owe fundamenty doczesne chrześcijaństwa, traktując resztę jako „superstrukturę” grzązłby znów w immanentyzmie, czyniąc z kolei fikcją umowną z nadprzyrodzoności Kościoła. Cała ta bogata treść pojęć katolickich umyka nie raz z pola naszej obserwacji, powodując liczne uproszczenia myślowe, w rezultacie których, nawet nie fałszując istoty naszej wiary (jakkolwiek i to może grozić), zagraża wypaczenie właściwego

zrozumienia wzajemnego stosunku doczesności i nadprzyrodzoności, immanencji i transcendencji, krzyżujących się nieustannie w życiu katolickim.

W EDŁUG poglądów idealistycznych Kościół Katolicki miałby kierować bezpośrednio nurtem dziejów. Świat katolicki byłby w każdej dziejowej chwili wskaźnikiem tego nurtu, gdyż każdorazowo, nieomylnie i posłusznie daje się on kierować nadprzyrodzonemu wycuciu kierunku historii. Według tego poglądu to wszystko w świecie, co nie czerpie bezpośrednio z ducha Kościoła swych wytycznych historycznych, może być tylko skazane na błędzenie po bezdrożach, zdadne w najlepszym razie do burzenia dziejowych przeżytków. Dla idealisty praktycznie tylko katolicy są rzeczywistym motorem przemian dziejowych.

Gdzież w takiej interpretacji historii miejsce na formowanie się historycznych, więc przemijających kultur i społeczności katolickich, gdzież możliwości szukania przez nie właściwych kierunków rozwoju, na wypatrywanie przez ka-

tolików owych światła, którymi Bóg obdarzył rzeczywistość, jak to pięknie określił M. I. Montuclard?

Takie chrześcijaństwo, uwolnione z uwarunkowań i ulomności swego czasu, staje się po prostu ziemskim odbiciem Kościoła transcendentnego, dzieje ludzkie — dziejami świętymi. Tkwiły tu w całej pełni w jednym z najbardziej charakterystycznych wypaczeń współczesnej myśli katolickiej — w integryzmie.

Nell-Breuning określa syntetycznie integryzm w następujący sposób: „pojęty jako system totalny, integrizm pragnie przekształcić i określić wszystkie dziedziny życia, wychodząc z płaszczyzny (specyficznie i wyłącznie) katolickiej”.

Określenie to daje wiele do myślenia, ujawniając przede wszystkim, że ten swoisty intelektualny totalizm katolicki jest w istocie mentalnością bardzo rozpowszechnioną wśród katolików w chwili obecnej. Doraźnie przeprowadzona w szerszym kręgu katolików polskich ankieta, w związku z opublikowaniem w roku 1950 w „DZIŚ I JUTRO” rozprawy ks. Congara o integryzmie, wskazała, że zda-

nie powyższe zostało przyjęte przez znaczną większość rozmówców bez cienia zastrzeżeń. „Oczywiście, odpowiadano; należy przekształcać i określać wszystkie dziedziny życia, wychodząc z założeń specyficznie i wyłącznie katolickich!”.

Rzecz prosta, że w stanowisku tym kryje się częściej po prostu nieporozumienie niż błąd. Większość zwolenników tak szerokiego interpretowania katolicyzmu wychodzi ze słusznego założenia, że należy „instaurare omnia in Christo”, wyobrażając sobie, że miarą katolicyzmu można wymierzyć każdy problem, że przeto katolicy tylko w kręgu myśli doktrynalnej winni szukać odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie im może stawiać współczesne życie. W takim wypadku mamy do czynienia z nieświadomą postawą integrystyczną, nieraz jednak wyhodowaną na pismach szeregu myślicieli, pisarzy, publicystów katolickich, którzy z całym przemysłem optowali na rzecz katolickiego „intelektualnego totalizmu”. W konsekwencji jednak integrizm każe myśli katolickiej za-

(Dokończenie na str. 4)

Haec dies quam fecit Dominus

WIELKANOC! Solemnitas solemnitas! To najprzedniejsze ze wszystkich świąt jest także najstarszym świętem. Ustanowili je apostołowie, aby się odciąć od Paschy żydowskiej, bo ta nowa Pascha jest wypełnieniem tamtej a, wnosząc zupełnie nową treść, stała się źródłem nowego życia.

Sw. Paweł mówi, że gdyby nie Zmartwychwstanie, daremna byłaby jego nauka. Bo czymże w istocie byłoby chrześcijaństwo bez cudu wielkanocnego? Chrystus byłby tylko postacią historyczną, może najciekawszą ze wszystkich dla historyka i psychologa, ale czy byłby życiem, prawdą i drogą? Jego nauka byłaby może najpiękniejszym systemem ale czy stałaby się religią? A jeśli tak, to czy mogłaby stać się naprawdę jedyną prawdziwą religią? Choć odpowiada najtajniejszym tęsknotom duszy, jest jednak najtrudniejsza do przyjęcia. Nie może być chrześcijaństwo narzucone, bo nim być przestaje, nie może się ograniczyć do kultu, bo przeczy wtedy samo sobie.

Zadna religia nie jest tak piękna, ale żadna nie budzi tyle oporu w duszy przez swą teologię krzyża i konsekwentnej miłości. Dla racjonalistów i ludzi praktycznych w rodzaju Lukiana chrześcijaństwo jest zaprzeczeniem rozsądku, a świętopaństwo określenie, że dla jednych bywa zgraszaniem dla innych głupstwem, jakże się często w najrozmaitszych postawach wariantach.

Ale oto w świetle brzasku dnia wielkanocnego zmieniają się całkowicie wymiary, proporcje i perspektywy. Chrystus zwyciężył, Chrystus jest Życiem, Chrystus jest Prawdą. Chrześcijaństwo jest sensem życia.

Nic też dziwnego, że radość napędzająca serca świadków Zmartwychwstania. Ta ekstatyczna radość wypływa się w liturgii Wielkiej Nocy. Jest to najpiękniejsza chyba liturgia w roku. Piękno liturgii Bożego Narodzenia jest spokojne, zrównoważone, niemal klasyczne, piękno liturgii Paschalnej jest inne. Jest oszaleńcujące, jest wylewem płomienia, furią błyskawic, mistycznych uniesień, szlachu i wesela, co chwytają za gardło.

Takie są „festa Paschalia”, uroczystości paschalne, rozłożone na całą oktawę. Ich treść zasadnicza, najgłębsze myśli, czar poezji, polega

wzruszenia zawarty się w liturgii W. Soboty. W pierwszym tysiącleciu odprawiano to nabożeństwo późnym wieczorem; wypełniało ono całą noc i było właściwym nabożeństwem Wielkanocnym, a łączyło się z udzielaniem sakramentów chrztu i bierzmowania. Z biegiem lat przesunęto je na wcześniejsze godziny, a od XIV wieku przetranszowano na wczesny ranek sobotni, aż zaczął się zacierać u wiernych święteńny charakter W. Soboty. Od roku ubiegłego Kościół nawraca do pierwotnego zwyczaju, aby wydobyc z liturgii W. Soboty jej właściwy charakter. Wątpliwą jest rzecz, czy od razu przyjmie się to w Polsce. Zbyt głęboko urosły nam w serca „Grobny”, adoracja N. Sakramentu i rezurekcyjna, nieznanie rzymskiej liturgii, by W. Sobota znowu za jaśniała należnym jej blaskiem. Jakkolwiek ułoży się u nas praktyka, te nasze tradycyjne nabożeństwa będą zawsze przyćmiewać splendor „Mszy Białej”.

A niezrównane jest piękno wielkosobotniej liturgii. Jest wieczór. Puszcza od wielkopiątkowych uroczystości kościoły toną już w mroku. Na zewnątrz kościoła stos ciemnowych gałęzi. Kapłan w imieniu Boga, światłości, co się zaćmić nie może, luminis indeficientis, zapala ogień i poświęca go, modląc się, abyśmy także „zapłonęli i zajaśniali ogniem światłości Bożej”.

Ten ogień to już symbol Zmartwychwstałego i Jego działania. Bóstwo Jezusa zapala iskrę życia w umęczonym, martwym ciele. Jezus wstaje z grobu żywy i ożywia do nowego życia tych, co w Nim pokładają nadzieję.

Od ognia wielkanocnego zapala kapłan paschał, świecą, wyobrażając Zbawiciela. Płynię melodia natchnionego hymnu „Exultet” — „Niech się raduje”. Opiewa on tajemnicą i pełną szczęścia noc Zmartwychwstania. Nie wiadomo co w hymnie tym więcej podziwiać: czar melodii, głębokie myśli, żarliwość modlitwy, tchnienie poezji, czy bogactwo stylu, roziskrzonych paradoksami i metaforą. Kolejno od paschału zapala się wszystkie światła w kościele. Wynurza się on stopniowo z mroku i płonie. Tak z mroków historii wyłonił się Kościół Chrystusowy.

„O vere beata nox” — brzmią słowa hymnu — noc to naprawdę

szczęśliwa, w niej pierwiastek ziemski łączy się z boskim, a Jezus — „Jutrzenka, co nie zna zachodu, jasnieje ludziom niekończącą się radością”.

Dwanaście prococtw ze Starego Testamentu, przeplatane modlitwami o głębokiej treści i pięknymi śpiewami, mają nas przysposobić do uczestniczenia w owocach Zmartwychwstania Pańskiego. Zapowiadają tego jest woda chrzcielna, którą kapłan teraz święci uroczysto. Jak Chrystus wstaje z grobu, jak z cementarnej kamienia wytryska źródło życia, tak w sakramencie Chrztu świętego rodzimy się po raz drugi, rodzimy do życia wiecznego. „Renati fonte” — odrodzeni w tym źródle możemy uczestniczyć w życiu Boga. Dokonywa się to zawsze ilekroć karmimy się Ciałem Pańskim w czasie Przenajświętszej Ofiary, co jest uctw Paschalną Nowego Testamentu. W niej dokonywa się równocześnie ofiara wielkopiątkowa i powtarza się nieustannie cud Zmartwychwstania, gdy z martwego kawałka chleba wyłania się żywy Jezus Chrystus.

I teraz do odprawienia tej Ofiary przygotowuje się celebrans, leżąc krzyżem u stóp ołtarza, podczas gdy wierni śpiewają litanię do Wszystkich Świętych, a błagalne Kyrie Eleison zda się przebiegać strop świątyni i wnikać w ciszę nocy wiosennej.

Nie ma nic piękniejszego w liturgii kościelnej od tej mszy wielkosobotniej co się teraz odprawia. Wyczuwa się w niej całe piękno wiosny, co przychodzi z ciepłem słonecznym, z muskaniem zefiru, świergotaniem ptaków, świeżą zielenią trawy i zapachem kwiatów. Pulsują w niej żywiołowa jakaś radość, umiłowanie gorące, żar uwielbienia i wloty mistyczne duszy, tęskniące za triumfem Prawdy.

Rozpoczyna się w ciszy, bo opuszczony w niej Introit, ale na Gloria odzywają się wszystkie dzwonki co w Wielki Czwartek zamilkły, biją dzwony, a nieme dotychczas organy wprost wybuchają kaskadą radosnych tonów. Kolekta i lekcja głoszą żywy związek między cudem Zmartwychwstania a regeneracją naszej duszy, jaka się ustawicznie sprawuje w sakramentach świętych.

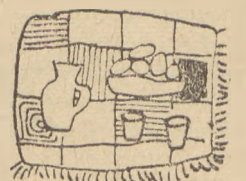
Po odśpiewaniu lekcji subdiakon zbliża się do tronu biskupiego, jeżeli biskup celebruje mszę świętą, i głosem wzruszonym oznajmia: „Reve-

rendissime Pater anuntio vobis gaudium magnum, quod est — Alleluja” — Najprzewielebniejszy Ojczy, zwiastuje ci wielką radość, mianowicie — tu braknie mu słów i wypowiada tylko jedno: — Alleluja. I celebrans inaczej nie potrafi wyrazić radości. Trzykrotnie w coraz wyższym tonie śpiewa to jedno słowo: „ALLELUJA”, a chór je trzykrotnie powtarza. I płynie ta melodia, do niczego co ziemskie niepodobna, szerokim tonem, i zda się po brzegi wypełniać wzruszone serca, rozjarzoną świątynię, pachnący wiosną świat Boży, i chyba w niebie się zlewa z tym weselem paschalnym, bo tam tylko można do głębi zrozumieć cud Zmartwychwstania i jego skutki dla duszy ludzkiej.

I już brzmi to alleluja w Ewangeliu, opiewającej tajemnicę dnia wielkanocnego, i brzmi w prefacji, co głosi, że Chrystus „śmiercią swoją śmierć naszą pogłębił, a zmartwychwstaniem odrodził życie nasze”, i brzmi w rozpieśnianych dzwonek, zwiastujących przeistoczenie, i nowym tonem w niczmiennym Modlitwie Pańskiej, i brzmi w zamiat Agnus Dei, co się jedyny raz w roku opuszcza, i w króciutkich niesporach, włączonych do Mszy świętej, aby wreszcie nowym akordem zakończyć się w oznajmieniu diakona „Ite, missa est alleluja, alleluja”, na co z piersi zebranych wyrwa się okrzyk: „Bogu dzięki, alleluja, alleluja”.

Liturgia dnia paschalnego i całej oktawy nie wiele dorzuca już do treści Wielkiej Nocy sobotniej. Przy całej swej piękności oświetla tylko z różnych stron tę samą tajemnicę Zmartwychwstania. Dominuje w niej radosne stwierdzenie: „Dux vitae mortuus regnat vivus”. Pan Żywota król: je żywy po śmierci. A przez całą liturgię snuje się purpurcwa od Krwi i złota od blasku antyfony: „Haec dies” — „Toć właśnie jest dzień, którego sprawcą Pan, radujmy się i weselmy w nim, alleluja”.

Dzień Pański, co kosztował tyle i co przynosi tak wiele. Wszystko.



* Fragment większej całości.

POKUSA INTEGRYZMU

mykać się w wąskim kręgu własnych doświadczeń, zabrania wszelkiego szukania wartości wypracowanych poza katolicyzmem, każe nie dostrzegać całego zakresu problematyki, w której Kościół nie chce i nie może zajmować doktrynalnego stanowiska.

INTEGRYZM wymienia się najczęściej w bezpośrednim zestawieniu z modernizmem. Niestudnie. Stwarza to aurę nieporozumienia, sugerując, że integrizm jest tylko reakcją katolików wobec odchylenia modernistycznej herezji. Tymczasem dzieje integrizmu katolickiego nie datują się bynajmniej od końca XIX wieku, gdy walka z modernizmem spopularyzowała to pojęcie, lecz co najmniej od czasów Reformacji i rozbieżnych wówczas tendencji co do metod walki z jej błędami. Również trzeba stwierdzić, że integrizm jest wypaczeniem katolicyzmu w zupełnie innym sensie, niż modernizm, jakkolwiek niewątpliwie istnieją pewne charakterystyczne zbieżności między tymi dwiema błędnymi postawami.

Oba wypaczenia niewątpliwie wywodzą się z postawy swoistego defetyzmu w stosunku do świata. Są wyłącznie bierna, wyłącznie obronna. Obie, każda na swój sposób, ujawniają u swych wyznawców kompleks niższości w stosunku do świata. Obie więc są, tak czy inaczej, symptomem anemii wiary.

Obie postawy są wyrazem nieporozumienia w odczytywaniu wewnętrznej struktury katolicyzmu, gdyż nie dokonują właściwego podziału między wiecznym a doczesnym i przemijającym obliczem Kościoła; Zatracać przeto poczucie różnicy między wewnętrznym życiem a zewnętrznymi formami. „Dla ratowania życia modernizm poświęcał formy, dla ratowania formy integrizm poświęcał życie Kościoła”.

U źródeł obu tych wypaczeń kryje się historyczne nieporozumienie: integrysta jest w gruncie rzeczy przekonany, że ideał katolicki spełnił się w przeszłości i że oddalamy się obecnie od zakresu, w którym Kościół był na ziemi zwycięski i otoczony chwałą nienaruszalną. Tęskni więc on za tą idylliczną przeszłością i pragnąłby tak czas, jak i rozwój dziejów cofnąć wstecz, ku temu ideałowi. Modernista żyje natomiast przeświadczeniem, że w jakimś momencie Kościół przegrał swą ziemską stawkę, że stracił wielką, dziejową szansę doczesnego zwycięstwa. Z niewątpliwą gorliwością wewnętrznej, przeświadczonej o konieczności odrobienia klęski, modernista chwytą się rozpaczliwie wszystkiego, co mu się wydaje elementem współczesności, poświęcając w zamian to, co mu się wydaje zbędne i przebrzmiałe, a co jest w rzeczywistości treścią wieczną i niezmienną Kościoła.

Na tym jednak kończą się zbieżności obu tych postaw. Modernizm

był specyficznym wypaczeniem katolicyzmu na przełomie XIX i XX wieku. Wynikł on w istocie z zastój myślowego kultury katolickiej w tym okresie, wyrażonej ze swego trybu Rewolucją Francuską i ideologią mieszczańskiego liberalizmu. W obliczu dominującej w życiu laicyzacji, w obliczu doktrynerskiego racjonalizmu — modernizm był świadectwem braku podstawowej dyscypliny myślowej u wielu intelektualistów katolickich tej epoki. Nie posiadając własnej, pogłębionej filozofii, przyjmowali oni łatwo, jako założenie światopoglądowe, przeżytki romantycznego sentymentalizmu, czyniącego z religii tylko tajemnicze, wewnętrzne uczucie. Z zachowaniem więc pewnych pozorów fideistycznych, modernizm w istocie nie był niczym innym, jak próbą sprowadzenia transcendencji i nadprzyrodzonej Kościoła do norm wolności i liberalnej teorii. Dla modernizmu nie ma w Kościele ani tajemnicy, ani cudowności, gdyż wszystko jest wytłumaczalne i dostępne dla umysłu ludzkiego. Nie ma Objawienia, gdyż w religii wszystko jest dziełem człowieka. Modernizm jest więc herezją i to herezją, wynikającą z zawinionego braku podstawowych wiadomości o wewnętrznym życiu i zewnętrznej strukturze Kościoła.

Dla modernisty nie ma więc również problemu sensu dziejów, gdyż nie ma Historii, jest tylko Aktualność. Tyle jest bowiem dla niego różnych aspektów przeszłości ile może być kątów widzenia umysłu ludzkiego, będącego w stanie ciągłego rozwoju.

WBREW pozorom i chwilowemu nasileniu, modernizm nie był w istocie prądem groźnym dla Kościoła. Niebezpieczeństwa z nim związane przemijają bezpowrotnie z chwilą, gdy katolicka kultura umysłowa, zasilona mocnym prądem nowocześnie przemyślanego tomizmu, stanęła na powrót na twardym gruncie chrześcijańskiego realizmu. Infantylizm i chaos doktrynalny modernizmu jest dla współczesnego katolika zbyt rażący.

Congar w swym studium o reformizmie katolickim słusznie sygnalizuje że:

„To fakt, być może dla wielu zaskakujący, niemniej prawdziwy: aktualna autokrytyka (katolicka) nie ma żadnych powiązań z modernizmem, żadnych związków z takim lub innym pamfletem modernistycznym czy „Action Française”. Ten rozmach i ta szczerść bez wątpienia nie byłyby w ogóle możliwe, gdyby nie całkowite przezwyciężenie modernizmu. Autor tej książki, który nie jest ani bardziej naiwny, ani gorzej poinformowany od innych, pragnie tu specjalnie podkreślić, że nie napotkał ani razu

(Dokończenie ze str. 3)

wypadku modernistycznych inspiracji współczesnego reformizmu”.

Świadectwo ważkie, biorąc pod uwagę fakt, że dane we Francji, w samej ojczyźnie modernizmu. Integrizm natomiast nie jest herezją. Jest tylko specyficznym, pod wieloma względami niewątpliwie fałszywym sposobem myślenia i przeżywania katolicyzmu. Jeśli modernizm grzeszy przeciw nadprzyrodzonej i transcendentnej strukturze Kościoła, zniekształca jego dogmaty i burzy jego ustrój, to integrizm jest wyrazem zniekształconego zrozumienia życia i ziemskich potrzeb Kościoła.

„Specjalna maniera, zdążająca do tego, by wszystko usztywnić, wszystko szufalokować; powiedzieć szczerze — wszystko likwidować dla uświęcenia wszystkiego; czynić tak by Bóg, miał być wszystkim, we wszystkim, by wszystkim zbawić, jak mówił św. Paweł, znalazł się na miejscu wszystkiego, by wszystko skasować. Byłoby to po prostu odwrotnością religii — tak się wyraża o integryzmie ks. Sertillanges O. P.

Integrizm wynika z błędnej wizji historii, jest typowym błędem w odczytywaniu sensu dziejów, błędem, którego konsekwencje z kolei odbijają się na samym rozumieniu roli religii.

Integrysta żyje przeświadczeniem, że dzieje chrześcijaństwa przeżyły swe apogeum. Był nim okres pełnej realizacji chrześcijańskiego ideału społecznego. Praktycznie teza ta sprowadza się do swoistej idealizacji chrześcijańskiego Średniowiecza. Chrześcijaństwo tego okresu, podniesione do roli transhistorycznego wzorca stylu życia, jedynego zgodnego z ideałem Ewangelii, przestaje być jedną z wielu przemijających struktur, natchnionych przez Kościół, lecz urasta do rozmiarów ideału, o nawrót do którego trzeba walczyć. Historia winna się zatrzymać. Jedną z historycznych formacji chrześcijańskich, wyidealizowaną i wyrwana ze swego dziejowego kontekstu, zatraciwszy swe uwarunkowania i skazy, staje się właściwie historycznie zrealizowanym katolicyzmem.

W konsekwencji, dla integrysty, wszystko to, co się stało po tym „wieku złotym”, jest odchodzeniem od ideału. Integrysta wyobcowuje się więc ze świata, dążąc jednocześnie do maksymalnego wyobcowania zeń także i Kościoła. Kościół katolicki jest bowiem dla niego nie tylko dawcą łask i źródeł życia mistycznego (integrizm wychowuje przeważnie gorliwych wyznawców), ale i także stróżem, piastunem zaprzeczającego przez błędy ludzkości raz spełnionego ideału ustroju zgodnego z Ewangelią.

Przez integrizm przebija w gruncie rzeczy tendencja do mesjanizmu. Wizja wyidealizowanej przeszłości, przeświadczenie, że należy się do tych wybranych, którzy mają ją przenieść nieskalaną; irracjonalna wiara w jej spełnienie się, przy pomocy całego ziemskiego aparatu Kościoła, w bliżej nieokreślonej przyszłości — oto elementy psychiczne, przypominające nam żywcom immanentnym „narodu wybranego”, które mu przeciwstawiła się Ewangelia Chrystusowa.

WYPACZENIA integrystyczne ciążyą najpoważniejszymi skutkami na mentalności bardzo wielu współczesnych środowisk katolickich. To bowiem obojętne, że u jego genezy były złudzenia o zrealizowanym ideale chrześcijańskiego Średniowiecza. Współczesny integrysta w większości wypadków nie, albo nie wiele wie o kulturze średniowiecznej. Pozostała jednak w wielu umysłach owa koncepcja unieruchomionego chrześcijaństwa, „con-

ception fixiste”, jak ją nazywają Francuzi. Pozostała gruntowna, dogłębna nieufność w stosunku do świata i jego przemian. Przebija poprzez tę postawę cała beznadziejność jansenizmu, zalecającego rozwód katolika ze skażoną rzeczywistością. Jeśli już integrysta decyduje się oddziaływać na rzeczywistość go otaczającą, to tylko szukając dróg odgórnego, autorytatywnego opanowania jego „oszałałego biegu”. Jeśli się to nie udaje, jak zazwyczaj, wówczas ucieczką jest getto katolickie, kwietyzm, przeświadczenie, że świat jest „zbyt zły, by móc w nim skutecznie uczestniczyć”, że przeto można tylko świadectwem wzorowego życia osobistego wyjednywać u Boga opiekę Opatrzności nad dalszym losem nieszczęśliwej ludzkości. Rozejrzyjmy się wokół, a stwierdzimy ze zdumieniem w ilu środowiskach, świadomie lub nie świadomie, katolicy przejawiają skłonność do takiej właśnie linii rozumowania.

Świadomość, że się jest katolikiem (ortodoksyjnym katolikiem, dopowie zaraz integrysta), zwalnia z obowiązku poznawania otaczającej rzeczywistości. Ponieważ zadaniem katolika jest, według integrysty, tylko realizacja raz już określonego wzorca, nie odczuwa on potrzeby dopracowywania się stale zmiennych form zaszczepiania katolicyzmu na życie doczesnym. Świadomość apostołska jest więc u niego wypaczona i sprowadza się do ponawiania co pewien czas imperatywnych apeli pod adresem „innych” do nawrotu z błędnej drogi. Nie czuje on jednak najmniejszej potrzeby ułatwiania komukolwiek dostępu do Kościoła, w obawie przed naruszeniem przez nowoprzybyłych pieczołowicie chronionych ideałów przeszłości. Tym bardziej w dziedzinie ściśle społecznej integrizm jest przeciwnikiem zmian i postępu a jest zwolennikiem pełnego konserwatyzmu.

Integrizm jest więc postawą typowej negacji, zamykaniem się w sobie i próbą zamknięcia także i Kościoła w ciasnym kręgu własnego kompleksu niższości, jest odpychaniem katolików i Kościoła od kontaktu ze światem współczesnym, w obawie przed skażeniem swych nie-realnych ideałów, które łączy mechanicznie z misją Kościoła.

Analizując integrizm Congar wielokrotnie powtarza następujące porównanie: „to z braku kościoła niektóre gatunki zwierząt otaczają się pancierzem”. Inaczej mówiąc — to z braku odwagi obcowania z teraźniejszością ludzie idealizują przeszłość; z braku pełnego przeżycia i przemyślenia swego światopoglądu katolickiego boją się konfrontacji z rzeczywistością. Kształtuje się na tym tle szkodliwa postawa, obawiająca się z zasady nowości, unikająca za wszelką cenę ryzyka, wykazująca co krok dowody swej wewnętrznej słabości, a nawet po prostu — strachu. Gdy się nie jest pewnym swych przemysłań, gdy się czuje zagubionym w rzeczywistości, która zaskakuje, wśród dynamizmu przemian świata, których się nie rozumie — człowiek się czuje słabym i barykaduje się wewnątrz twierdzy, za którą chce uważać katolicyzm.

Wówczas dzieli się po prostu świat na „swój”, katolicki, do którego dopuszcza się możliwie najmniej, oraz na „wrogi”, obejmujący wszystko, co nie uchodzi za katolickie. Wówczas szuka się w świecie, w historii tej ostrej linii podziału, która by bezpiecznie oddzielała strefę PRAWDY od strefy FAŁSZU, ustawiając katolików bezpiecznie, bez obaw i wątpliwości, po właściwej stronie.

„Tylko w tej mierze, w jakiej się patrzy na Kościół jako na coś skończonego, czego należy przede wszystkim bronić, można hołdować złudzeniu (do którego reszta lepiej nie przyznawać się), że istnieje między stanowiskiem ortodoksyjnym a granicą błędów coś w ro-

dzaju „no man's land”, strefa bezpieczeństwa (podkreślenie moje) i że trzeba ją chronić, gdyż umożliwiła to utrzymanie przeciwnika w odpowiednim dystansie.

W tej mierze jednak, w której poczuwamy się do odpowiedzialności za apostołstwo, gdy uważamy się za wyznawców Kościoła na pierwszej linii, wówczas uświadomiamy sobie, że znajdujemy się w bezpośrednim kontakcie (podkr. moje) na każdym odcinku z „tym z naprzeciwka”. Wówczas ustawiamy się, z całą świadomością obowiązku utrzymania się na tej jednowymiarowej linii, która przesądza o tym, czy jest się w Kościele, czy poza nim”.

To obrazowe porównanie Congara daje pełny przekrój problematyki, jaką myśli katolickiej stawia pokusa integrizmu. Szukanie strefy bezpieczeństwa między światem a Kościołem lub też ustawianie się świadome, twarzą w twarz, wobec wszystkich spraw tego świata, po katolickiej stronie tej jednowymiarowej linii granicznej.

Chrześcijaństwo, tak w aspekcie historycznym jak i współczesnym, jest dla integrizmu ową „strefą bezpieczeństwa” między jego katolicyzmem a światem. Dodajmy do tego, strefą dla niego coraz mniej bezpieczną. My jednak szukamy w wymowie dziejów nie strefy bezpieczeństwa, lecz tej cienkiej i nieuchwytej, wijącej się nici, która wskazuje nam linię Chrystusową.

Dla upewnienia się w tym poczuciu bezpieczeństwa, integrizm buduje swe wnioski tylko w oparciu o dedukcję z założeń katolicyzmu, nie odwołując się nigdy do indukcji z analizy doświadczeń historycznych i z rzeczywistości bieżącej. Teza Montuclarda — „wraz z natchnieniem Wiary wierność Historii jest dla chrześcijanina jednym ze światła jego życia” jest przez integrizm frontalnie odrzucana. Przyjął on bowiem z góry, dedukując to z irracjonalnego ideału, że Historia jest nie wierna. że jedynym sensem dziejów są popełniane w nich błędy, oddalające ludzkostwo od niegdyś zrealizowanego, idealnego chrześcijaństwa.

Problem przewyciężenia tendencji integrystycznej jest dziś niewątpliwie jednym z podstawowych problemów kultury katolickiej. Ciąży on niezmiernie od paru pokoleń na mentalności katolickiej i stanowi jedną z największych przeszkód w pracy nad adaptacją poszczególnych społeczności katolickich do przemian, jakie wokół nich zachodzą.

Rzecz oczywista, że tak długo jak nie przewyciężymy tej tendencji do oderwania się od założeń realistycznej interpretacji dziejów, jak długo będziemy ulegali idealistycznym złudzeniom, wielu katolików, a nawet wiele społeczności katolickich będzie tkwiło w atmosferze świadomego lub podświadomego kompleksu niższości w stosunku do współczesnej im rzeczywistości. Milczenie niektórych katolików, zaskoczonych pytaniem — jak można pogodzić wszechmoc Bożą z aktualnym aspektem rozwoju ludzkości, jest tylko potwierdzeniem tej słabości.

Nie ma w wyrokach Opatrzności zarządzeń przypadkowych lub wątpliwych. Jeśli właśnie tak a nie inaczej potoczyły się dzieje świata i Kościoła od czasów Średniowiecza, jest w tym mądrość Boża. Naszym obowiązkiem jest ją zgłębić i przystosować się do niej. Wymaga to jednak odwagi spojrzenia w oczy Historii, oznacza to — odwagę spojrzenia w oczy prawdzie o losach człowieka. Tylko ta droga, odrzucająca zdecydowanie defetyzm tak integrizmu jak i zatamania się modernistów, jest drogą optymizmu, drogą wiary w Człowieka, wiary w Opatrzność.

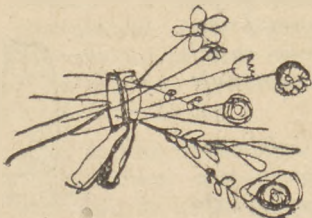
Wojciech Kętrzyński

Kazimierz PIEKUT

KRZYŻ PRZY DRODZE

To nie prawda że gwoździe przekłuły Twe ręce
i chłód włośni kaganek serca Twego zgasił...
Łotrowiś dał tak wiele, kiedy szepnął: wierzę,
a mordercom śmierć swojąś ohotnie przebaczył.

Odiął samotny konasz za wielu i za mnie,
Jezusie rozciągnięty na ludzkich win drzewie.
Ponad siły jest miłość, którą mi kazales,
gdy jestem zdolny umrzeć zaledwie za siebie.



Wanda PIENKOWSKA

WYSIŁKIEM MÓZGÓW, RAŁ I SERC

DZIEN wstał późny i mroczny. W miarę, jak podchodziliśmy od przetartych już tras miasta — chmurzył się coraz — uparciej, wreszcie sypnął prosto w oczy kłującym, mialkim śniegiem. Lutowy wiatr jednym dmuchnięciem przekonał się o mizernej cieniźnie naszych letnich, sztucznie przeróżnymi lachami pogrubionych palt i dał już teraz, pewny swego, nieprzerwanym lodowatym ciągiem. Ale myśmy szli dalej.

Domy i ulice ziały powowstano-

łomie wieku XIV — XV kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela podniesiony został do godności kolegiaty, a ks. Janusz Starszy sprowadza majstrów aż z Wrocławia: do prezbiterium mają być dobudowywane trzy nawy halowe. Jednakowa, a duża wysokość ich sklepień, znaczna szerokość naw i potężna stromizna czuwającego nad całością dachu sprawiają, że odtąd kościół św. Jana majestatycznie bryła wyniesiony ponad zwarta masę drewnianych zabudowań ówczesnej Warszawy, obejmujące swoje panowanie nad mia-

świętynię na taką, jaka została w naszej pamięci, jakiej zarysów daremnie wypatrywaliśmy wróciwszy z powowstaniowej tułaczki. A więc, niestety, katedry sfalszowanej, w obcym dla Polski stylu angielskiego gotyku, z obniżonym dachem, dorobionymi wieżyczkami i sterczynami, z otynkowaną zewnątrz i wewnątrz cegłą, gipsowymi żebrami sklepień... Katedry fatalnie przez pozorne wzbogacenie zubożonej.

Architekt Idzkowski, któremu w 1833 roku powierzono renowację katedry, niewątpliwie chęci miał najlepsze i pragnął przywrócić świątyni dawny, średniowieczny wygląd. Dotychczas istniejące pomiary, dokonane wówczas przez Idzkowskiego, są bezbłędne. Jednakże architekt okazał się za słaby, aby przeciwstawił się wpływowi epoki, dla której smaku pozostały po usunięciu nawarstwień, pełen szlachetnej prostoty i surowości szkielek katedry był zbyt ubogi. Idzkowski decyduje się na gotyk angielski, którego sztuczność i pretensjonalność szczególnie uwidaczniają się pod polskim niebem. Na domiar złego, już na początku naszego stulecia, fasada katedry wyłożona została ohydną białą okładziną.

Ale cóż? Sfalszowaną i zniekształconą znaleźliśmy jednak i kochaliśmy od zarania naszego życia, taka ją pamiętało już parę pokoleń i taka właśnie zginęła z rąk hitlerowców. Gdy więc, po zapadnięciu decyzji, że Warszawa mimo potwornych okaleczeń dźwignięta zostanie do życia, przystąpiono do szczegółowych oględzin ruin katedry i stwierdzono, że trzeba wybudować ją od nowa — powstały namiętne dyskusje — jak? Zasadnicze koncepcje były tylko dwie: albo zachować kształt lat ostatecznych, albo powrócić do pierwotnej, piętnastowiecznej formy.

Sympatie przeciętnego szarego przechodnia skłaniały się zdecydowanie na stronę pierwszej z nich. Fachowcy toczyli zajadłe spory, składając na wazących się szalach coraz nowe argumenty. Wreszcie zgodzono się na powrót gotyku z XV wieku, na odrzucenie fałszów wieku XIX, przy jednoczesnym zachowaniu ocalałych fragmentów epok poprzednich. I niewątpliwie, choć warszawiacy czują się nieco urażeni w swo-

stwo, przyszło z wydatną pomocą finansową. Już w pierwszym roku odbudowy Rząd przeznaczył na potrzeby powstającego z gruzów zabytku pięć milionów złotych, nie zominając o nim i w latach następnych.

Równocześnie z odgruzowywaniem rozpoczęto odbudowę murów Kaplicy Literackiej i prezbiterium, oraz posadawianie fundamentów. W tymże jeszcze roku ks. Kardynał Ilmond dokonał poświęcenia kamienia węgielnego, a z wiosną do odnowionej tymczasowo Kaplicy Pana Jezusa sprowadzono z pro-katedry starodawny Krucyfik i wznowiono nabożeństwa.

Jakże łatwo jest dziś mówić o tym pierwszym roku podjęcia prac, z których ogromu zdawali sobie sprawę chyba tylko ci, w których rękę znajdował się ster odbudowy straszonych naw. Dziś, gdy po pięciu latach niezmordowanej, pełnej poświęcenia pracy całej załogi wspaniała bryła dachu-olbrzymia gra znówu nad Powiśiem, a jedyny głos dzwonów niesie się tryumfalnie ponad Starym Miastem.

Staliśmy na wąskiej, niedbale pomiędzy dachem a dzwonnica przetrzonej kładce. Pod nami poczwaryły się w śmiesznych skrótach sylwetki przechodniów, dalej, poza zasloną proszącego śniegu, przebywały czerwienią ściany odrodzonych domów Starej Warszawy. Leonard Sztymborski zsunął z czoła czapkę!

— Uczciwie powiedziawszy, to tu rzetelny kawał roboty siedzi — spojrzenie mistrza murarskiego z upodobaniem przyglęło do zgrabnych kształtów klasztornej dachówki — bo pomyśleć tak, że cztery lata temu...

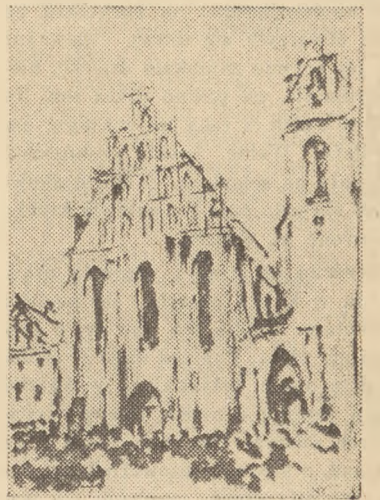
Rok 1948. Mury zewnętrzne, ściany boczne i ściany frontowe coraz wyżej odrastają od ziemi.

Przemysłane mieszanie dwóch gatunków cegieł — gotyckiej, uzyskanej z rozbiórki i specjalnie wypalanej, sprowadzanej z Bydgoszczy — daje jedyną w swoim rodzaju, charakterystyczną fakturę. Kaplica Literacka pokryta zostaje miedzianym dachem. Ale chociaż robotnicy coraz wyżej muszą zadzierać głowy, aby cgarnąć wzrokiem całość swojej pracy — z twarzy ich nie znika tro-

wej hr. Wolskich, będącej zabytkiem renesansowym i płyty z grobowca ks. ks. Mazowieckich. I w tymże roku również wykonano żelazne wiązania dachowe, pokryte latami drewnianymi i dachówką. Wtedy to po raz pierwszy od strony Wisły ukazała się znówu, wzniesiona nad maszyną Starego Miasta, sylweta katedry, a katołicy Warszawy odczuli, że katedra naprawdę zmartwychwstała; na twarzach odbudowującej świątynię załogi ukazał się szeroki uśmiech — to już było coś, no nie?

— No nie? — powtórzył mistrz Leonard, sam się do swoich wspomnień szeroko uśmiechając. Ciągłe jeszcze staliśmy na zawieszonyj w powietrzu kładce, oglądając z tej podniebnej perspektywy skróconą historię prowadzonej w zdumiewającym tempie odbudowy. — A teraz wróćmy do środka, coś pani pokaże.

Zgięci we dwoje, wsuwamy się przez otwór w dachu w niebieskawy półmrok poddasza kate-



S. Noakowski: Katedra Warszawska

dry. Olbrzymia, pusta przestrzeń zamknięta w potężnym trójkącie dachu w wiera uroczyste, trochę niesamowite wrażenie. Ekspozowaną drabiną, jakiej nie powstydziłoby się najbardziej atrakcyjne miejsce Orlej Perci, schodzimy na wąski, okrężający poddasze drewniany ganek.

— W 1950 roku mieliśmy już gotowe prezbiterium, które ksiądz Prymas poświęcił jak raz w dzień świętego Jana. No i wzięliśmy się za wiązania dachowe nawy głównej... Wszystko wspiera się tu na tych filarach z poprzedniego roku. Dach zupełnie nie jest związany ze ścianami, nie opiera się na nich ani trochę. Proszę obejrzeć dokładnie. A teraz zejdzmy niżej, do moich sklepień...

W zarliwej intonacji głosu mistrza Leonarda, specjalisty od sklepień gotyckich, mięści się coś więcej, niż zainteresowanie fachowca. Ten mistrz murarski przejął od rzemieślników średniowiecznych nie tylko ich trudną, dziś już prawie nieznaną, sztukę sklepienia z wolnej ręki, ale również ich gorące umiłowanie zawodu i znajomość wszystkich zagadnień wznoszonej budowli.

Rok 1950 odznaczył się jeszcze wyciągnięciem zwieńczonego sygnaturką szczytu od strony Wisły i wykonaniem surowego szkieletu żelbetowego szczytu frontowego.

Tymczasem Bydgoszcz już przeszła od roku przygotowywała dla warszawskiej katedry specjalną, tzw. klasztorną dachówkę. Sprowadzana partiami, pokrywa w roku 1951 coraz większą połac dachu, ale dopiero czternasty jej wagon zdolny jest nasycić olbrzymia. Wzniesiony 48 m ponad poziom Placu Zamkowego, potężny dach katedry zaczyna znówu nadawać oczy rozkończonych w zabytkach stolicy warszawiaków.

W miarę, jak po niezliczonych drabkach i drabinach schodzimy z mistrzem Leonardem spod dachu,

(Dokończenie na str. 3)



Canalotto (XVIII w): widok na Katedrę od Krakowskiego Przedmieścia, z częścią „Bramy Krakowskiej”.

wym pogorzeliśmy i ruiną, dając świadectwo prawdy biegnącym po kraju gadkom, że Warszawa nie żyje. Pustka i milczenie. Ale myśmy szli dalej, z niedorzeczną nadzieją, że jakiś utajony ślad życia kolacze się może w samym sercu miasta. Oczom, daremnie wypatrującym skroś zadymki znajomych zarysów, stało się wreszcie jasne, że nic nie zobaczą, bo nic tam nie ma. Wywiązała się dla krótka, tak charakterystyczna dla owych czasów rozmowa:

— Gdzie jest katedra?

— Tam.

— Ależ tam nie ma...

— To to właśnie jest katedra.

Ostatnia nadzieja zawiodła. Serce Warszawy — Stare Miasto leżało w gruzach, katedra przestała istnieć. Wtedy to wydało nam się, że nasze miasto umarło naprawdę... Ludzie słabej wiary! Nie docenialiśmy wspaniałej żywotności warszawiaków i gorącego przywiązania ludu stolicy do pamiątek przeszłości.

Sięgając do zarania dziejów katedry musimy cofnąć się do wieku XIII. Nie zachowały się co prawda żadne ślady pierwotnej świątyni — pożary i napady Litwinów na Mazowsze zniszczyły najstarsze dokumenty. Nie ulega jednak wątpliwości, że niewielka drewniana kaplica zamkowa istniała już w pierwszej połowie XIII wieku. Podanie głosi, że w 11 lat po założeniu, w roku 1261, kościółek doszczętnie się spalił i wówczas to wzniesiono kaplicę murowaną, dzisiejsze prezbiterium katedry.

Mijały lata. Rosło miasto, rozbudowywał się zamek — rozmary kaplicy przestały wystarczać. Na prze-

stem. Sylweta Starego Miasta jest już od tej chwili nie do pomyślenia bez charakterystycznych zarysów świątyni.

Wtedy też katedra otrzymała schodkową fasadę gotycką, która zresztą niebawem, jeszcze w czasach gotyku, ulega przebudowaniu. Rysunków z tych czasów nie posiadamy. Istnieje natomiast wspaniała szkice Noakowskiego, będący wprowadzającą wizję, że prawdopodobnie było właśnie tak.

W fasadzie zachodniej powstaje przy tym ogromna, około 70 m licząca wieża, która stracona w 1602 roku przez szalejącą nad Warszawą burzę, przebija sklepienie i, uszkadzając nawy, niszczy stojące pośród nich grobowce.

Wiek XVII przynosi kolegiacie św. Jana liczne zmiany i przeróbki w stylu barokowym.

Nadeszły czasy Stanisława Augusta, czasy ożywionego ruchu budowlanego, wielkich projektów i planów. Zniekształcona przez szereg nawarstwień stylów świątynia również miała ulec przebudowie. Fontanna, Moszyński, Merlini i Kubiński przedłożyli plany, które wnieciły gorące dyskusje. Wszystko jednak pozostało w sferze marzeń, przekreślone przez szybko toczący się bieg historii.

W roku 1798 papież Pius VI erygował biskupstwo warszawskie i tym samym kolegiata św. Jana wyniesiona została do godności katedry.

Lata 1837 — 41 są okresem, który przesądził o wyglądzie katedry przez następne sto lat.

W okresie tym przebudowano



Katedra Św. Jana w Warszawie w czasie odbudowy fot. Cz. Olszewski

ich sentymentach — jest to decyzja jedynie, w obliczu przeszłych i przyszłych wieków, słuszna.

W TRZY lata po tragicznym zawaleniu się katedry, z wąskiej przykatedralnej uliczki wyjechał pierwszy naładowany gruzem wóz. Przez cały rok 1947 trwała nieprzerwana ich procesja — wywieziono około 4 tysięcy metrów sześciennych gruzu. Z olbrzymiej świątyni ocalały tylko dwie kaplice i szczytek muru z podporą. Od rozpoczęcia kolosalnego zadania podźwignięcia katedry z ruin, tak Rząd, jak i społeczeń-

stwo, niby się robi, a do dachu jeszcze gdzie!

Rok 1949. Rok jeszcze bardziej wyczerpanej pracy i wielkich osiągnięć. W nawie głównej stają żelbetowe słupy — przyszła podpora wiązań dachu, buduje się podtrzymujące strop podciąg. Nad prezbiterium rozkwitają ostrołukowe sklepienia gotyckie z kamiennymi zwornikami; odbudowano również i pokryto dachem dzwonnica. W tym roku dokonano ogromnej pracy zebrania i zabezpieczenia fragmentów rozbitych nagrobków, m. in. płyty nagrobko-

(Fragment)



NNA wsunawszy dłoń w kieszeń fartucha namalowała pudełeczko „Grundwaldów“ i zapalki. Niecierpliwym ruchem osadziła papierosa w cygarnicze, zapaliła zapalkę i chciała zaciągnąć się dymem. Przez chwilę rozkoszowała się haustem nikotyny niby tykiem świeżego powietrza, wciągniętego w płuca po długim przebywaniu w zaduchu. Skłębione, poszarpane myśli zaczęły się wyglądać, ustawać, wiązać w logiczny łańcuch. Ruchy jej szczupłego ciała stały się wolne i metodyczne. Teraz już nie spiesząc się podeszła do stołu, sięgnęła po kubek do grzania wody. Otworzyła szufladę, w której miała kawę w blaszanym pudełku. Co chwila zatrzymywała się, zaciągała papierosem. Dawny nałóg chwycił ją na nowo w swoje szpony. Nie broniła się przed nim w tej chwili — musiała być przecież czujna. Kiedy podeszła do kranu nad umywalką, by nalać wody do kubka, zatrzymała się na chwilę nieruchomo. Nasłuchiwała. Szerzej uchyliła drzwi na korytarz. Wielki, uspiiony budynek nie był zupełnie cichy, ale w dźwiękach, które słyszała, nie było nic niepokojącego: na korytarzu na dole otworzyły się drzwi, bliżej, już na jej rejonie zapłakało dziecko, nieprzytomnie, na pewno przez sen. To pewno Julek, z ręką na wyciągu, pomyślała. Wolne kroki posługaczki człapały na schodach. Z Marszałkowskiej skręciło auto i pomknęło szybko w stronę al. Szucha.

Wróciła do stołu i włączyła prąd. Woda w kubku zaczęła się perleć i perkotać. Lubiła ten dźwięk, z którym się żyła. Poprzez okno widziała w dół ulicę: polyskującą w świetle lamp jezdnię i niskie ściany wypalonych domów. Na tle nieba bez gwiazd, z którego różowofioletowa łuna spędziła czerń, rysowały się wyraźnie okaleczone wieże kościoła. Robotnicy pracowali przy tramwajowych torach i raz po raz nisko, tuż przy ziemi, zapalał się oślepiający biały płomień spawaczki, bijąc niby szeroko rozpostartą dłonią w szyby okalających plac domów. Dalej, już za placem, ulicę wyznaczały dwa ciężkie pylony potężnych budynków nowobudującej się dzielnicy. U ich stóp migotały ognie pieców tłoczonych dyszami ciepłe powietrze między świeżo otyłkowane mury. Choć całe miasto spało, dzięki tamtym proces życia posuwał się stale na przód.

Ja także nie śpię! — pomyślała. Napięta mięśnie, przeciągnęła się i zaraz sprężyta je gotowa do nowej próby. Dobrze jest, uświadomiła sobie, gdy życie ma swój cel i zadanie. Gdy można się całkowicie oderwać od siebie, zapomnieć o swoich dolegliwościach, humorach, odpływach energii. Gdy się człowiek czuje na posterunku. Szum wody przeszedł w bulgotanie. Zdusiła papierosa i wyciągnęła kontakt z gniazdko. Bulgotanie powróciło znowu w szum, coraz cichszy. Lecz wtedy właśnie wydało się jej, że coś usłyszała. Błyskawicznie na palcach wybiegła na korytarz.

Był biały, szeroki, pełen ostrych, chemicznych woni. Szła nim śpiesznie, ciągle cicho. Po obu stronach korytarza były oszklone drzwi, przez które widziała kwadraty fioletowego nieba w ramach wielkich okien. Między drzwiami a oknami opaskowały w półmroku białe oparcia łóżek, czasami wzniesione w górę, jakby się wspinały do skoku, czasami uwięzione u góry rusztowaniem wyciągu.

Drzwi czwartego pokoju były otwarte. Stało tu jedno tylko łóżeczko, przy którym siedziała pielęgniarka. Lampka na stoliku aureolą swego blasku tworzyła przed oknem migotliwą zasłonę. Wzrok nie rozpraszał się, skupiał na łóżeczku i na skulonej kobiecie w bieli.

— Co tam, siostrze? Czy coś nowego? — zapytała szeptem.

— Nic — odpowiedziała pielęgniarka, powoli podnosząc głowę; — Nie, nic... — Głos czuwającej był zmęczony, każde słowo wymieniane było oddzielnie — Ale z niego nic nie będzie, pani doktor...

— Css! — położyła palec na ustach. Ale właściwie wiedziała, że można mówić głośno. Dziecko spało snem ciężkim, jakim organizm broni się przed ostateczną zagładą. Spod białego nakrycia, spomiędzy owijających głowę bandaży dochodził rwany, rżący oddech. Wzięła leżącą na pościeli rękę i skontrolowała tętno. Pochyliła się i dotknęła końcem palców czola.

— Gdyby się coś zmieniło w oddechu lub zachowaniu pacjenta, niech siostra zaraz mnie zawoła... Ale zaraz. Jestem stale w dżurce.

— Oczywiście — pielęgniarka skinęła posłusznie głową ubraną w biały czepek. — Ale ja mówię pani doktor, że to na nic...

— Nigdy tak nie wolno mówić! — zganiała ją. Zajrzała w twarz dziewczyny. Mimo mroku widziała podkrążone oczy i usta zacisnięte, jakby kryjące ból. Ta mała, przebiegła jej przez głowę, źle wytrzymuje swój dżur. Najchętniej wysłałaby ją, by się gdzie przedzierała choć ze dwie godziny. Ale wiedziała, że dzisiejszej nocy nie potrafi być wyrozumiałą ani dla siebie, ani dla innych.

— Wandziu — powiedziała łagodnie — siostrze nie wolno zasnąć ani na chwilę. Ale zaraz zaparzę kawę i podzielę się z siostrą.

— Dziękuję bardzo, pani doktor... dziś wyjątkowo jakoś mi trudno...

Pomyślała — zawsze ci jest trudno, moja mała. Nigdy bym się była nie zgodziła na ten dyżur, gdyby nie to, że nie miałam wyboru. Tak się złożyło, że żadna inna pielęgniarka nie mogła zostać na ekstradyżurze.

— Zaraz przyniosę kawę. Musi być jednak siostra bardzo, bardzo uważna... — powiedziała stanowczo.

— Będę, pani doktor.

JESZCZE raz rzuciła spojrzeniem na dziecko, po czym wróciła na korytarz. Znowu szła między szklanymi drzwiami, za którymi polyskiwały białe oparcia łóżeczek. Zajrzała na chwilę do sali, w której leżała mała Marysia po kropelówce z

Jan DOBRACZYŃSKI

plazmy. Ale dziecko oddychało spokojnie i cicho. Wyszedłszy na korytarz natknęła się na Felicję, pełniącą dziś swój dyżur na oddziale.

— A pani dochtór furt nie śpi? — zaczęła zaraz gderać posługaczka, kołysząc się na swych krótkich krzywych nogach. — Położyć się, położyć... Po co pani została na noc? Po co tak niszczyć zdrowie? Jesteśmy tu dwie i jeszcze Wanda została. A tam na dole pani dochtór Brzezińska. Niech się pani dochtór położy i śpi. Jak co będzie potrzeba, obudzimy panią. Pani dochtór to najwięcej haruje na cały oddział. A tu jeszcze noc... Sił pani dochtór nie starczy.

— Człowiek, pani Felicjo, zawsze ma dosyć siły, by zrobić to, co trzeba — zażartowała.

Ale Felicja nie dała obrócić swoich uwag w żart. Stała na środku



korytarza z basenem w ręku i mówiła strasznie poważnie, poruszając podniesionym palcem, jakby nim groziła.

— Tak to niech pani dochtór nie mówi. Człowiek ciągnie, ciągnie a potem bęc... Już ja widziałam takich. Dał nam Pan Bóg rozum, żebyśmy umieli wymiarkować: ile trzeba, nie za dużo i nie za mało. Nie?

— A pani sama to miarkuje? — zaśmiała się. Z Felicją Anna żyła się bardzo w ciągu tych kilku lat. Felicja była pierwszą posługaczką, która zgłosiła się do pracy, gdy tylko

N O C W

szpital można było uruchomić. To był dobry człowiek, który odnosił się z sercem do chorych dzieci. Gdyby wszystkie mogły być takie! Felicja nie przebiegała między małymi pacjentami, nie miała swoich faworytów, nie czuliła się do jednych, by być opryskliwą dla drugich. Zawsze umiała być jednakowa: nie nazbyt wylewna ale równa i staranna. Sama miała dzieci i wnuki ale uważała, że ich było za mało. „Mocna jestem jeszcze kobita — tłumaczyła nieraz Annie — a one już nie potrzebują mojej pomocy. To niech się przynajmniej tym biedaczynom przysłużę...”

Wróciła do dyżurki. Woda ostygła, trzeba ją było na nowo grzać. Na placu nad szynami zapaliły się upiornie blaski, zupełnie takie same jak blask niemieckich rakiet, nurkujących wolno nad pozycjami wśród ruin. Woda zabulgotała. Anna wyciągnęła wtyczkę, nasypała kawy i nakrywając kubek spodeczkiem, odeszła od stolika przy oknie do stołu na środku dyżurki. Przechodząc koło ceratowej kozetki, na której leżał złożony puszysty koc, czuła w całym cieple namiętą pokusę, by się na chwilę — na jedną krótką chwilę — wyciągnąć. Wyciągnąć, zapasć w bezwład. Pokręciła głową jakby się targowała sama ze sobą. Nie. Wsunęła białe krzesło i usiadła na nim. Znowu wylowiła z kieszeni pudełko papierosów. Ale zapalki się skończyły. Pech! Z gniewem odrzuciła puste pudełeczko. Mam jeszcze drugie — przypomniała sobie po chwili. Sięgnęła do torebki. Dłoń szukała na ślepo wśród rozmaitych drobiazgów. Pudełko było, ale wymykało się jej palcom. Musiała zawartość torebki wyłożyć sztuka za sztuką na stół, by wreszcie pochwylić zbiega. Na konie zaciągnęła się dymem. W samą porę! Już czuła jak się rozdwa ja jej jaźń, jak zaczyna patrzeć na samą siebie niby na kogoś drugiego.

Powoli wkładała przedmioty z powrotem do torebki. Lusterko. Przelotnie zajrzała do niego. Zobaczyła w

nim swą twarz: swe zielonkawopienne oczy w tej chwili podkrążone, delikatny nos, małe usta. Wokół oczu były zmarszczki, przy osadzie nosa dużo drobniutkich piegów. Przesunęła dłonią po puszystych włosach skręcających się w pierścienie nad wysokim, zbyt może wysokim jak na kobietę czołem. Co oni upatrzili sobie? — przebiegło jej przez myśl.

Wstała nagle jakby pochwycona na niewłaściwym zajęciu. Połowę kawy przelała do kubka. Znowu na palcach udała się do separatu.

— No i co? — rzuciła pytanie od drzwi.

— Nic, pani doktor. Wszystko bez zmiany.

— Przyniosłam siostrze kawę.

— Dziękuję bardzo, pani doktor. Dziś mi jest tak trudno...

— Wandziu, siostra nie powinna się w ogóle zgłaszać na nocne dyżury. Gdyby nie to, że przypadek jest taki ciężki, wypędziłabym siostrę do domu, spać.

Pielęgniarka piła kawę małymi łykami, bez zadowolenia, niby niesmaczne lekarstwo.

— Chciałabym czasami coś zarobić dodatkowo — przyznała się z nieszmiałym uśmiechem.

— Zarobić! Zarobić! — rzuciła opryskliwie. — A co będzie potem ze zdrowiem? — Nagle wydało się Annie, że wpada w gderanie Felicji. — Przecież siostra chce się także uczyć — zaczęła z innej beczki.

— O tak — przyznała Wanda tonem, w którym się czuło szczerłość. — Muszę coś więcej umieć. Zawsze więcej...

POMYŚLAŁA, że ją rozumie. Ona sama, gdy była w jej wieku, chciała i umieć, i wiedzieć więcej niż jej otoczenie. Nie znosiła uwag własnej matki: po co się męczyć? Po co się zajmować tym, co mnie nudzi? Ach, ten mały światek znużony tym wszystkim co rozszerzało jego horyzonty! W życiu ich rodziców raz wiodło się dobrze, drugi raz źle: raz „interes“ szedł i wte-

Witold OSTROWSKI

S e n o

Ale Krzyż nie tylko jako wizja chwały staje przed poetą sprzed dwunastu wieków. Jest także symbolem cierpienia całej ludzkości w Chrystusie:

*Widziałem to drzewo chwały
czią odziane, świecące radośnie,
objęte złotem, kamienie szlachetne
uspaniałe spinały drzewo swego Stwórcy
A jednak przez złoto dostrzegłem daleko
wysięk biednych gdy zaczęło się pocić
z prawego boku. Boleść mnie strapiała,
strach o cudny widok... Znak zarliwy zmienił
szalę i barwy; raz rosą wilgotny,
krwią zlany, to znowu zawity w skarby.
Ja zaś, leżąc przez czas długi, ze skruchą
wpatrzony w drzewo Uzdrawiciela
ustyszałem jak w głos przemawiać zaczęło,
jak słowa wyrzekło to najlepsze z drzew...*

Zaczyna się przemowa Krzyża, której fragmentem przemawia do dziś dnia starodawny krzyż z Ruthwell:

*Dawno to było a jednak pamiętam:
na skraju lasu kiedyś mnie ścięto —
wyrwali mnie z posad, zabrali wrogowie
by wnieść na widowisko z łotrami wysoko.
Nieśli na ramionach, na wzgórzu zatknęli —
wielu mnie wrogów tam mocoowało.
Potem ujrzałem Pana ludzkości —
szybko kroczył z odwagą ku mnie.
Nie śmiałem wtedy wbrew Pana słowu
zgiąć się lub złamać gdy ziemia zdradzała.
Mógłbym wrogów powalić, lecz stałem...
Wówczas obniżył się młody Bohater —
sam Bóg Wszchemocny o sercu silnym
ustąpił na szubienicę na oczach wielu.
Chciał ludzkość wyzwolić przez szlachetne serce.*

W tym rysunku Chrystusa-Bohatera wyczuwa się zarys bliskiej świeżo ochrzczonym Anglom postaci wodza poświęcającego się za towarzyszy i lud — półlegendarnego Beowulfa. Natomiast dalsze wiersze tchną chrześcijańskim uczuciem:

M IĘDZY Anglią i Szkocją ciągną się wzgorza Cheviotu, sławne z powieści Waltera Scotta kresy, usiśnięte ruinami zamków i opactw, kraj nie tylko wielkiego pisarza, lecz i o czarna wielu ballad ludowych i legend. Północną i południową granicę zielonych wzgórz, przeciętych czarnymi strugami wijących się rzek, znaczą dwa pomniki starożytniejsze jeszcze od zamków i klasztorów — krzyże z Ruthwell i Bewcastle.

Krzyże kamienne. Jeden z nich tylko — krzyż z Ruthwell — zachował głowicę z krótkimi ramionami, wyrzeźbioną z jednej sztuki głazu. Uszkodzony przez Purytanów jako objaw bałwochwalstwa, został złożony przez czyjeś bardziej ludzkie ręce i stoi na kościelnym cmentarzu na świadectwo wiary VII czy VIII wieku. Drugi krzyż przypomina raczej obelisk. Oba pomniki oplata kunsztowna rzeźba — wiraż. pnące się arabeski, symboliczne postacie i zwierzęta. Cztery kultury złożyły się na te kamienne dzieła sztuki: rzeźba nawiązuje do wzorów rzymskich, ornament — do bizantyjskich, litery zaś pochodzą z dwóch źródeł — są tu germańskie

runy i łacińskie litery w stylu celtyckim. Oba krzyże są świadectwem spotkania się czterech cywilizacji w zapomnianym już małym królestwie Northumbrii, które przed upadkiem, mającym nastąpić niedługo po ich wzniesieniu, zdążyło wydać pierwszego prawdziwego historyka europejskiego, Czcigodnego Będę i zdobyć się na bezcenną dziś, piękną księgę Ewangelii z Lindisfarne.

Prócz tego Northumbria zachowała najcenniejsze zabytki staroangielskiej poezji pogańskiej i stworzyła staroangielską poezję chrześcijańską. Świadectwem tego jest właśnie krzyż z Ruthwell.

Na jego kamiennym obelisku mamy zachowany fragment wielkiego poematu zwanego „Snem o Krzyżu“ („The Dream of the Rood“). Całość znaleziono w tak zwanej księdze Vercellego z X w. Nieznany autor skomponował go w czterotaktowym wierszu germańskim, którego każda linia dzieli się pauzą a wiąże alliteracją — doborom słów zaczynających się od tego samego dźwięku. Rymów wtedy nie znano.

„Sen o Krzyżu“ zaczyna się w ten sposób:

*Opowiem oto o najlepszym z snów,
o śnie, który przyszedł gdy mnił pośród nocy,
gdy ludzie żyjący spoczynku szukali.
Zdało mi się, iż widzę najszlachetniejsze z drzew
w górę wzniesione, w światło spowite,
z lasu najjaśniejsze; cały ten drogowskaz
w powodzi stał złota a piękne klejnoty
dołem się stały; w górze ich pięć
na belkach. Aniołowie pańscy patrzyli
na twój ten piękny — niewinnego szubienicę.
Oglądały ją duchy święte i ludzkie
na ziemi i całe uspaniałe stworzenie.
Cudowne było to drzewo zwycięskie
ja zaś grzechem splamiony, zraniony złem...*

S Z P I T A L U

dy były pieniądze, futra, kosztowności, kolacje w Savoyu, przyjęcia, drugi raz przychodził „mortus w handlu”, pieniędzy brakło, futra i kosztowności leżały w zastawie, zamiast przyjęć i kolacji odwiedzało się znajomych, by coś u nich zjeść. Wstrętne życie! — złościła się nieraz. Wbrew ojcu i matce poszła na medycynę. Nigdy kobieta-lekarz nie zrobi forsy — to była sentencja jej ojca, którą słyszała nieraz. Odpowiadała z furją: nie chcę pieniędzy! Chcę wiedzieć, umieć, uczyć się, poznawać — całe życie!

Nie przedłużała rozmowy. Pochyliła się nad dzieckiem, znowu wzięła za puls bezwładną rękę. Wsluchiwała się długo w nierówny tykot uciekającego życia. Nie miała złudzeń, ale żadną świadomość nie była zdolna złamać w niej stanowczego postanowienia walki do końca. W sąsiedniej sali zakrzyczało dziecko. Felicja szła już śpiesznie korytarzem. Na dole, na ulicy rozpędzony samochód zapiszczał hamulcami. Powoli wyszła z separatu. Na korytarzu minęła się z kołyszącą się z boku na bok jak kaczką Felicją.

— Co tam?

— A nic, pani dochtór, to tylko ta mała, pani dochtór wie, ta Józia...

— Aha. No i co?

— Obudziła się i woła o lalkę. Dałam jej szmaciankę i jest cicho.

Była z powrotem przy stoliku. Piła wolno kawę wyobrażając sobie, że każdy tyk płynu wydobywa nowe siły z jej osłabłego ciała. Na stole pozostało lusterko a pod nim złożona kartka papieru. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, co to jest takiego. Rozwinęła ją.

Był to blankiet telegraficzny z wypisanym na nim tekstem depeszy. Wystarczyło, by oddać blankiet na pocztę, a wezwanie powędrowałoby w świat. „Przyjeżdż. Sprawa ważna. Anna”. Lecz depesza leżała dotąd w jej torebce. Nie wysłała jej choć od chwili wypadku minął dzień i noc. Odruchowo spojrzała na zegarek:

czterdzieści godzin... On ciągle nie wie. A może ona go zawiadomiła? Czy nie należało ją uprzedzić? Gdyby już był — zatelefonowałby natychmiast. I ona mogłaby zejść na dół, wziąć słuchawkę, powiedzieć mu: nic się nie zmieniło, śpi spokojnie... Dużo by dała, gdyby mogła usłyszeć jego głos. Mimo wszystko czuła teraz się trochę jak wtedy, gdy ją pozostawiono z całą szopą rannych i z jedną głuchą posługaczką poza związającym się szybko frontem. A może właśnie doświadczenie tamtych dni urosło w niej teraz dopiero do granic wielkiej grozy? Nie była jak wtedy młodą dziewczyną, świeżo upieczonym lekarzem... Znała życie. Tak, dobrze by było usłyszeć jego głos. Ale z drugiej strony to byłaby słabość. Jeżeli Krzysia uratuje, będę mu, mogła powiedzieć: zrobiłam to dla ciebie. Zrobiłam nawet więcej: uchroniłam cię przed godzinami niepokojów...

Czy go jednak uratuje? Muszę go uratować! Mocno zacisnęła wargi. Na życiu tego dziecka zależało jej bardziej niż na życiu czterdziestu innych dzieci leżących na podległym jej rejonie. Pamiętała swoje uczucia, gdy pierwszy raz zadzwonił telefon. To był jej wolny dzień. Przed chwilą przyszedł Andrzej. Machnęła ręką i nie podniosła w ogóle słuchawki.

„Masz rację — powiedział Andrzej — znowu będą cię nudzili o jakieś głupstwo...” Telefon odezwał się kilka razy, potem zamilkł. Andrzej położył dłoń na jej rękę, ale ona szorstko odsunęła ją. „Daj spokój. Później...” Po co przyspieszać to, co i tak nastąpi? Śmiała się, ale w jego głosie był przymus. „Pójdziemy gdzie na obiad?” — spytał. „Nie warto. Są tam jakieś konserwy”. Nie chciało się jej wychodzić. Wyciągnęła się na tapczanie, przymknęła oczy. Mężczyzna kręcił się między pokojem a kuchnią, ale po chwili stanął obok niej. Słyszała, jak oddychał głośno. Przemógł się, zrezygnowanym ruchem sięgnął do papierośnicy. „Zapalisz?”

Rys. Anna LUBRAŃSKA

„Nie”. „Widzę, że przestałeś palić.” „Przestałam”. „Cóż to takiego?”

Telefon znowu zadzwonił. Znowu miała ochotę pozwolić mu się wydzwonić aż do ucichnięcia. Ale niezrozumiały, wewnętrzny przymus kazał jej sięgnąć po słuchawkę. „Proszę?” „To ty, Anusiu? Dzwonię do ciebie chyba z dziesiąty raz...” „O co chodzi?” „Przed paru godzinami pogotowie przywiozło chłopca. Wypadek: zderzyły się dwie taksówki...” „No, dobrze, ale przecież dziś jest mój wolny dzień. Cóż, u licha, poradzić już sobie beze mnie nie umiecie. Zadzwonić do profesora... — Zawodowy instykt przemógł na chwilę zniecierpliwienie: — Czy to coś poważnego?” „Bardzo... A poza tym



myślałam, że cię to zainteresuje. To chłopiec Krońskiego...” Od jednego podrzutu usiadła na tapczanie. „Krońskiego?” „Tak”. „Już wychodzę!”

Położyła słuchawkę i zerwała się z tapczanu. Prędko zsunęła z nóg domowe pantofle. Andrzej stanął przed nią w pozie wyrażającej oburzenie. „Co? Chcesz wyjść?” „Tak. Muszę iść do szpitala”. Sznurowała półbu-

ciki. „Ale tam się odgrzewa gulasz. A zresztą to twój wolny dzień. I obiecałaś...” Wzruszyła ramionami. Rozglądając się za torebką rzuciła: „Zgas maszynkę, odstaw mięso za okno”. Pośpiesznie przypudrowała nos. Ponad swoim ramieniem widziała w lustrze twarz Andrzeja. Wydała jej się obrzydliwa. Zresztą to nie po raz pierwszy dokonywała tego odkrycia. Tylko czy to nie wszystko jedno: Andrzej czy ktoś inny?

Dotykała ubrania szyjką butelki wody kolońskiej. Posłyszała jego głos wzbierający gniewem: „Może jednak przyjdiesz za jaką godzinę?” „Wątpię — sięgnęła po płaszcz — sprawa poważna...” „Przecież nie jesteś jedynym lekarzem w szpitalu!” „Ale słyszałaś ze mnie wzywały”. „A co mówiłaś o Krońskim? Czy to może jego dziecko?” „Aha”. „Ach, więc to dlatego taki pośpiech! — gniew wzrósł. — Zależy ci na tym świętoszku? Może myślisz...” „Idź już — wypchnęła go za drzwi — zamykam!”

Zostawiła Andrzeja na ulicy w rozpiętym palcie, z twarzą czerwoną ze złości. Nie obejrzała się nawet: szła szybko długimi, stanowczymi krokami. Pośpiesznie minęła wyłożoną kafelkami bramę, hall tak obstawiony lustrami, że jedna obecna w nim osoba tworzyła cały tłum postaci. Kiwała głową, nie zatrzymując się, spotkanym kolegom. Wbiegła do windy, która szła właśnie w górę zabierając wózek wracających od roentgena dzieci. Gdy otworzyła drzwi do dyżurki, zobaczyła, że są tu zebrani wszyscy lekarze oddziału. Profesor Massalski podniósł na nią wzrok swych spokojnych, błękitnych oczu. „Dobrze, że koleżanka przyszła — powiedział. — Pomoże nam koleżanka...”

ANDRZEJ zadzwonił późnym wieczorem. W jego głosie nie było już gniewu, raczej prosba. „O której wychodzisz. Przyjdź po siebie”. „Nie wychodzę wcale. Zostaję na noc...” „Wzięłaś nocny dyżur?” — w buchnął. „Tak. Czy chcesz jeszcze czego? Śpieszę się”. „Co z tym dzieckiem?” „Zwróć się z tym pytaniem do sekretariatu. Otrzymasz urzędową odpowiedź”. „Anka”. „Ja. Już skończyłeś? Do widzenia?” Zaskomlił: „Aneczka... Dlaczego jesteś taka? An-

ka... To kiedy się zobaczymy?” Miała ochotę powiedzieć: najlepiej nigdy. Ale znała siebie. A do Andrzeja już przywykła. Nie wiele wymagał. „Zadzwoń rano” — powiedziała.

Położyła słuchawkę lecz nie odeszła od telefonu. Numeru nie potrzebowała szukać w książce, a przecież powoli, jakby namyślając się nad każdą cyfrą, nakręciła tarczę. Sygnał odzywał się kilka razy zanim podniesiono słuchawkę, ona zaś po każdym jego odezwaniu się miała ochotę zamknąć aparat. Odezwiał się głos kobiety:

— Słucham?

— Czy mieszkanie pana Krońskiego?

— Tak.

— Dzwonię ze szpitala.

Posłyszała jakby cichy okrzyk, po którym zapadło milczenie. W słuchawce coś pobzykiwało niby świerszcz. Cisza przedłużała się. Kiedy tamten głos odezwał się, zabrzmiał jakby z większej niż poprzednio odległości.

— Słucham panią... Czy z moim synem?...

— Proszę się nie lękać — powiedziała. — Stan bez zmiany.

— Bez zmiany... — powtórzono głuchoc. — Przepraszam ale czy to oznacza, że można mieć nadzieję?... Czy... Ja bardzo przepraszam, ale z kim mówię?

— Jestem lekarzem. Krzys jest pod moją opieką. Nazywam się Rajnert... — powiedziała nazwisko niezbyt wyraźnie, trochę przez nos. — Bez zmiany to oznacza, proszę pani, że nie jest gorzej. A skoro nie jest gorzej, można mieć nadzieję... Lecz sytuacja jest nadal poważna.

Znowu milczenie trwało czas dłuższy, zanim głos odezwał się:

— Jestem bardzo pani wdzięczna za te informacje. Czy to wszystko, co może mi pani o Krzysiu powiedzieć?

— W tej chwili tak. Ale gdyby pani chciała mogę zadzwonić znowu jutro rano.

— Pani jest naprawdę bardzo dobra. Byłabym bardzo obowiązana... — Ton był uprzejmy lecz Anna miała poczucie jakby tamta kobieta zaczęła mówić zupełnie innym niż poprzednio głosem. — Bardzo... Jestem sama i bardzo niespokojna... Mego męża nie ma w Warszawie.

— Czytałam w gazecie, że jest we Wrocławiu na zjeździe.

— Tak i wołałabym go nie odrywać od dyskusji...

Już miała na ustach: stan jest jednak poważny. Powstrzymała się. Powiedziała:

— Więc pozwolił pani, zadzwonię jutro.

— To ja panią o to proszę. I naprawdę bardzo będę wdzięczna. I dziękuję ogromnie, że pani teraz zadzwoniła. Ogromnie... Czy dobrze usłyszałam: Pani doktor Anna Rajnert.

Tak — potwierdziła i zaraz położyła słuchawkę, jakby lękając się, że głos odezwie się znowu jakimś nowym pytaniem. Głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Powoli zawróciła ku schodom. Wchodziła na nie, krok za krokiem. Przetrawiała rozmowę. Więc ona jednak wie, że to ja — myślała. Pozostał jej w pamięci głos kobiety w słuchawce zamglony, przerywany, cichy. Ale co na podstawie głosu można powiedzieć o człowieku na drugim końcu linii telefonicznej? Nic. Tak samo nic jak o człowieku, który nas słucha w konfesjonale... Śmieszne zestawienie! — zauważyła. Od tylu lat nie była już u spowiedzi. Ta spowiedź była ostatnią. Próżno potem szukała tamtego księdza, aby mu powiedzieć... I ksiądz zniknął i ona nie odczuwała już nigdy potem potrzeby stanięcia przed ciemną kratką...

A może tamto było tylko snem — snem, który śni się kilkakrotnie i o którym nawet we śnie pamiętamy, że się już nam kiedyś śnił. Pasmem czasu zwinęło się niby skręcająca się w palcach wełniana nić. Skupiła się (Dokończenie na str. 9)

K R Z Y Ż U

Zadrzałem gdy Władca mnie objął, lecz upaść nie śmiałem na ziemię, stać musiałem mocno. Jako krzyż mnie wnieśli a ja wzniosłem Króla, potężnego Pana Niebios — nie śmiałem się zgiąć. Przebodli mnie ciemnymi gwoździemi — wyraźne tu znaki, szerokie rany nienawiści, — jednak żadnego skrzywdzić nie śmiałem. Drwili z nas obu. Krwią byłem złany z boku Człowieka gdy oddawał Swą Duszę. Wiele gorczy na wzgórzu tam przeżyłem... Widziałem Pana Zastępów żalostnie rozciągniętego... Ciemność owinęła Ciało Władcy — jego jasną promienność — cień się rozpostarł ciemny pod ahmurami. Całe stworzenie płakało. Śmierć Króla oplakiwało, Chrystusa na krzyżu.

Krzyż opowiada swoje dzieje dalej. Przyjaciela Ukrzyżowanego zdjęli Ciało Boga Wszchemogącego, złożyli Je. „Stali u węzłowania, patrzyli na Niego, a On odпочywał zmęczony wielką walką”. Po złożeniu w grobowcu „zaczęli pieśń pogrzebową samotni o wieczornej porze”. Potem odeszli. Krzyż został sam. Przewrócono go na ziemię, wrzucono w dół. Ale uczniowie-drużownicy Pańscy (poeta używa tu słowa thegn, które zawiera oba znaczenia) odnaleźli Krzyż.

Teraz czas nadszedł, że ludzie i całe szlachetne stworzenie oddaje cześć daleko, szeroko — modlą się przy tym znaku jasniejącym. Świecę wzniesiony wysoko pod niebo bo na mnie Syn Boży niegdyś tak cierpiat; uzdrowić moge, kto tylko mnie uczi. Kiedyś byłem największą katuszą, nienawistną dla ludzi, aż otworzyłem drogę żywota dla niosących słowo. Oto teraz uczcił mnie On. Książę Chwały, nad lasne drzewa, On Strażnik Nieba, — tak jak uczcił Bóg Wszchemogący Matkę Jego, samą Marię, z niewiast.

Krzyż każe pocie opowiadać swoją historię ludziom. Pan, który cierpiat na nim aby dopomóc ludziom przyjdzie kiedyś z nieba na sąd. I wtedy znowu okaże się chwałą Krzyża:

Nie będzie nikogo ktoby się nie bał słów strasznych, które Władca wypowie. Zapyta się wtedy przed ludźmi wieloma kto z nich zechciał dla Imienia Pańskiego śmierci gorzkiej skosztować jak On? Bać się będą naówczas i namyślać co by powiedzieć Chrystusowi w odpowiedzi. Lecz nikt się lękać nie ma potrzeby. kto nosi w piersiach najlepszy drogowskaz! Przez krzyż każdy Królestwa szukać będzie, i każda dusza z dróg ziemskich przyjdzie, która ze swym Władcą zechce zamieszkać.

Teraz mówi poeta. Zachwycony dobrocią Boga tak kończy:

On nas wyzwolił, życie nam dał, Niebieski dom! Nadzieja obrodziła kwieciami i szczęściem gdzie znosił palący ból!

„Sen o Krzyżu” powstał w dalekiej Northumbrii na skrzyżowaniu dwóch szlaków misyjnych, z których jeden wychodził z celtyckiej Irlandii, którą ochrzcił w V wieku Św. Patryk, a drugi z Rzymu. Celtyowie szli na wschód, łacinnicy na północ. Spotkanie obu misji wskutek małostki ludzkiej stało się starciem, wygładzonym dopiero po dłuższym okresie czasu, ale dobra nowina, którą obie misje niosły pogańskim Anglom, była czymś tak radosnym w porównaniu ze smętną wiarą Germanów, że chrześcijaństwo łatwo tu zakwitło. Człowiek znalazł „niebieski dom”.

Taka jest geografia poematu. Co do chronologii, to trzeba pamiętać, że zjawia się on w tym samym okresie dziejów Kościoła, w którym krzyż ze znaku hańby przemienił się w znak chwały. Już w VI wieku artyści coraz śmielej przedstawiają krzyż z postacią Chrystusa, ale pamięć hańby krzyżowej jest tak świeża, że Chrystus przedstawiony na krucyfikach, to Chrystus triumfu-

jący a nie cierpiący. Na krzyżu w Rutławell nie ma wprawdzie postaci Ukrzyżowanego (zastępuje ją znak Trójcy Św. — trójkat), ale w poemacie nieznanego poety northumbryjskiego wyraźnie zaznacza się tak trudne do zrealizowania w sztukach plastycznych syntezę hańby i chwały, cierpienia i zwycięstwa. Poeta nie waha się nazwać krzyża zubiencią, ale jest to dla niego jednocześnie „drzewo chwały” czciana odziane, świecące radośnie”.

Ta synteza, w której po tysiącu i dwustu przeszło latach odnajdujemy pełnię chrześcijańskiej filozofii Krzyża, wydaje się zadziwiająco nam bliska. Zdziwienie ustępuje gdy zdamy sobie sprawę, że pełnia życia wewnętrznego wszczepionego w Chrystusa przekracza ramy epok i okresów. Poeta „Snu o Krzyżu” musiał czerpać swą wiedzę o treści Krzyża nie ze snu, ani z rozpraw teologicznych, lecz z samego źródła Prawdy — u Jezusa, z którym się zjednoczył.

Witold Ostrowski

A. LANDSDORF

Z psychologii późnego Średniowiecza



WIEK XIV i XV to już koniec wielkiej epoki feudalnej. Rycerstwo w zachodniej Europie straciło bezwzględny przewagę i możliwość dysponowania środkami gospodarczymi. Miasta bogaciły się szybko — powstał już potężny patrycjat nie tylko handlowy lecz i finansowy, rękodzieło (ówczesna forma przemysłu) dochodziło do siły i znaczenia.

Fakty te nie znalazły pełnego odbicia w literaturze, tak jak nie znalazły na ogół zrozumienia w świadomości ówczesnych. Obraz stanowiska porządku świata był bardzo mocno wszczepiony w wyobraźnię i przetrwał zmianę stosunków społecznych. Na obraz ten składają się trzy człony społeczne: duchowieństwo, rycerstwo i stan trzeci. Ten ostatni zawierał patrycjat miejski, rzemiosło i chłopów.

Artykuł ten jest krótkim szkicem, opartym na książce J. Huizingi „Le declin du moyen age” (Zmierzch Średniowiecza). Autor zajmuje się trzema najważniejszymi cechami psychiki średniowiecznej: religijnością, duchem rycerskim i miłością idealną. Cechy te są wyrazem obowiązywania pewnych społecznych ideałów. Cała książka jest właściwie wyliczeniem sprzeczności między idealnymi a rzeczywistością. Autor kapitułuje przed próbą wyjaśnienia tych sprzeczności. Generalizuje tylko w niewielkim stopniu, nie siląc się na ogólną syntezę psychologiczną epoki.



Trójstanowej strukturze społecznej towarzyszył bezwzględny prymat dwu pierwszych stanów i pogarda dla stanu trzeciego. Rycerstwu towarzyszył wielki urok. Jest rzeczą zdumiewającą — pisze Huizinga — jak Chastellain (1404—1474) kronikarz Burgundii, wychowany w samym sercu Flandrii, mający więc przed oczyma żywiołowy wzrost potęgi mieszczaństwa, mógł tak ślepo wyznawać światopogląd arystokratyczny. Według niego stan trzeci Bóg stworzył po to, żeby swą pracą umożliwiał życie innym. Duchowieństwo ma krzewić wiarę, a zadaniem rycerstwa jest rozwijanie cnót, wymierzanie sprawiedliwości, obrona Kościoła, strzeżenie ludu przed tyranstwem, zwalczanie gwałtów i bezprawia, zachowywanie pokoju. Podstawowe cnoty rycerskie to: prawdomówność, odwaga, obyczajność i szczodrość. Szlachta francuska — dodaje Chastellain — odpowiada zupełnie tym wymaganiom. Najważniejszą ani na chwilę nie ulega załamaniu.

Stan trzeci jest stanem niewolniczym. Jego cnotą jest pilność, pokora, posłuszeństwo królowi i powolność życzeniom rycerstwa — pisze kronikarz.

Zła dola chłopów, znajdujących liczną echę w literaturze współczesnej jest traktowana konwencjonalnie, bez praktycznych konsekwencji. Panegirycy arystokracji chóralnie opiewają biedę chłopów, która doszła do straszliwych rozmiarów pod koniec wojny stuletniej. Skargi te uważają za obowiązek wynikający z kodeksu rycerskiego; wyrażają w ten sposób współczucie dla biednych. Dalej jednak nikt nie idzie, brak jakiegokolwiek programu reformistycznego. Ten typ współczucia powtarzać się



będzie i w wiekach następnych, aż po Fenelona i Mirabeau.

Liczne sprzeczności wykazuje Huizinga w rozdziale o „Typach życia religijnego”. W wieku XV Ludwik Orleański, miłośnik luksusu i rozkoszy prowadzi jednocześnie tryb życia mnicha: chodzi na godzinki, słucha do sześciu Mszy św. dziennie. Filip Dobry (1396—1467) zwolennik zabaw oszalałymi prymitywnym przepychem i rozwiązością, chytry polityk, w życiu codziennym dumny ponad miarę jest zarazem głęboko pobożny. Po Mszy św. długo pozostaje sam w oratorium, pości o chlebie i wodzie cztery dni w tygodniu, potajemnie rozdaje jałmużnę, za każdego ze swych poległych ludzi zamawia liczne Msze św. (400—500 Mszy św. za barona, 300—200 za rycerza, 100 za giermka). Po zdobyciu Luksemburga modli się tak długo, że jego świta wobec nieskończonej jeszcze bitwy, zwraca mu uwagę na niebezpieczeństwo. Filip odpowiada: „Bóg, który dał mi zwycięstwo zachowa je dla mnie”.

Szczególnie charakterystyczny jest żywot Karola de Blois. Potomek Walezjuszów, przez małżeństwo stał się dziedzicem Bretanii, o którą walczyli całe życie, dając początek wojnie stuletniej. Został jeńcem angielskim w r. 1347, powrócił z niewoli w r. 1356. Zginął pod Auray w r. 1361. Od młodości był ascetą — rodzice musieli zabierać mu książki, gdyż stała lektura była przeszkodą w ćwiczeniach wojennych. Spał na ziemi obok łoża małżeńskiego, spowiadał się co wieczór. Po powrocie z niewoli słu-bował, że pójdzie bosy przez śnieg do miejsca, gdzie został jeńcem Ludność wykladała drogę słomą i kocami, szedł jednak bocznymi ścieżkami, wskutek czego poranił sobie nogi tak, że leżał 15 tygodni. Po śmierci znaleziono pod zbroją włosienicę. Froissart twierdzi o nim jednak, że miał nieslubne dziecko.

Nie trzeba widzieć w tego rodzaju faktach ani bigoterii, ani hipokryzji, są to wahania między dwoma biegunami, szarpiące potężne pierwotne temperamy. „Gdy widzimy — pisze Huizinga — pisarzy średniowiecznych Deschamps, Antoniego de la Salle czy Molineta, tworzących poematy nabożne i pornograficzne, nie mamy powodu, by przypisywać je kolejnym okresom grzechu i pokuty. Musimy je przyjąć jako sprzeczność, dla nas niemal nie do zrozumienia.

Na to, by pisać o życiu religijnym średniowiecza, należało być teologiem. Jednak i laik może stwierdzić, że autor książki przypisuje średniowieczu pewne cechy, które już dawniej były elementami życia religijnego. Tak było np. z symbolizmem. Zapewne, że omawiana epoka przyniosła wzrost a nawet przerosł symbolizm, co stało się z szkodą dla myślenia kategoriami przyczynowymi. Pewne elementy symbolizmu wyszły już jednak w Nowym a nawet w Starym Testamencie.

„Le roman de la rose”, epos średniowieczny, który wywarł olbrzymi wpływ na warstwę oświeconą, opiera się wyłącznie bohaterami, którzy reprezentują pewne idee. Poeta pragnie zerwać różę, która jest oczywiście symbolem Róża rośnie w zaczerpniętym ogrodzie strzeżonym przez Nienawiść, Zdradę, Podłość, Chciwość, Melancholie, Surość, Gadulstwo, Nędzę — są to wszystkie cechy nie rycerskie. Poeta dostał się jednak do ogrodu, w którym wokół bożka Miłości wiodą tany: Dobroć, Piękno, Bogactwo, Szczerość, Uprzejmość, Radość, Prostota — wszystkie cechy rycerskie.

Charakterystyczne jest również dla poezji, od XIII wieku porządku — pomieszanie alegorii chrześcijańskich z pogańskimi. Tendencje do pogąbskich alegorii uwidocznią się bardzo wyraźnie w epoce Odrodzenia.

Symbol zastępuje rozumowanie przyczynowe, obraz zastępuje dowód. Człowiekowi Średniowiecza wystarczał obraz o wyraźnych konturach, o wymownej treści, by wywołać wzruszenie i wiarę w to, co on reprezentuje.

Z tego założenia Huizinga wyprowadza przesadny kult świętych i obrazów, który nieraz przyjmował formy niepokojące. Kościół wyszedł

ostatecznie zwycięsko z tego niebezpieczeństwa. O psychologii ówczesnej świadczą dotąd liczne pomniki, zarówno literatury jak i plastyki. Są one wyraźnie aż do groteski przeladowane mocnymi barwami i realistycznymi scenami. Z tego okresu datują się próby opisowego oddania mąk piekielnych i radości dusz zbawionych. Piękną stronicę książki poświęcił autor „Naśladowaniu Chrystusa” Tomasza a Kempisa. Zaprzeczając on, jakoby dzieło to nosiło wszystkie cechy Średniowiecza — brak w nim dynamiki i wyrazistości konturów.

Nie przypadkiem data jego powstania była kwestionowana w ciągu kilkuset lat.



Za ideał życia rycerskiego uważa autor ideał estetyczny, spokrewniony jednak — wskutek przesiąknięcia całego życia pierwiastkiem religijnym — z elementem etycznym. W rzeczywistości jednak, dodaje, rycerstwo nie stało na wysokim poziomie pod względem etycznym. Zbyt wyraźnie cechowała je pycha, która stała się niemal punktem honoru. „W rzeczywistości historia szlachty zawsze ukazuje nam pychę idącą w parze z bezwstydny egoizmem”. Burckhard, autor dzieła o Odrodzeniu, niesłusznie zdaniem Huizingi przypisuje dążenie do sławy osobistej, nie grupowej, renesansowi. Jest to cecha francuska i średniowieczna. Froissart, współczesny kronikarz, zaleca brawurę, czystą brawurę dla niej samej. Celem jej jest zdobycie przez rycerza sławy i honoru — lecz wymyka się mu: również dla zrobienia kariery.

Jak wyglądał ideał rycerski w zetknięciu się z koniecznościami wojennymi? Często brał on górę nad wymaganiami praktyki. Najwięksi wodzowie narażali się często niepotrzebnie, byle tylko nie uchybić rycerskim przykazaniom Edward II zarzykował życie w wątpliwym wypadzie przeciw flocie hiszpańskiej. Członkowie rycerskiego zakonu „Gwiazda” ślubowali, że nigdy nie cofną się dalej niż 7.200 stóp. Doszedłszy do tej granicy zginą, lub poddadzą się. Froissart zapewnia, że ta zdumiewająca reguła kosztowała na samym wstępie istnienia zakonu życie 80 rycerzy. W r. 1415 król angielski Henryk V zbliżając się do

Francuzów przed bitwą pod Azincourt polecił swym zwiadowcom, by wyruszyli na rozpoznanie bez zbroi, cofając się bowiem do swych wojsk kalaliby strój rycerski. Armia w pochodzie minęła przez omyłkę wieś, gdzie były przygotowane dla niej kwatery. Ponieważ król był w zbroi i cofnąć się dlatego nie mógł, nocowano w polu.

Gdy w wieku XII trubadurowie uczynili z miłości idealnej centralny element poezji, psychika średniowieczna znalazła się na ważnym zakreście rozwojowym: po raz pierwszy w dziejach powstał ideał miłości negatywnej. Świat starożytny wyrażał w swej poezji albo nadzieję spełnienia miłosnych pragnień, albo użalał się na los który temu przeszkodził. Poezja średniowieczna opiewa miłość bez nadziei. Powstał kult dla kobiety, kult miłości, która z samego założenia miała pozostać nienagrodzona. Zakochani, dzięki tej miłości mieli pozostać cnotliwi i czysty. W poezji lirycznej element duchowy coraz więcej brał górę, aż w „Vita nuova” Dantego dojdzie do stanu półświętości. Zwrot do realizmu nastąpił wreszcie w okresie między Petrarką (1304 — 1374) a Lorensem Medicim (1448 — 1492). We Francji droga rozwoju tematu miłosnego zawarta jest w „Roman de la rose”, zaczęty przez jednego poe-ty w r. 1240, skończony przez innego w 1290. Miłość została ujęta w jednolity styl. Kościół starał się opanować niepokornione temperamy Średniowiecza, lecz nie zawsze mu się to udawało. Jeśli chodzi o arystokrację miłość stylizowana, miłość dworska, była dodatkowym hamulcem. Przy bliższym zbadaniu okazuje się jednak, że hamulec ten to tylko pozory, a życie erotyczne feudalów w dalszym ciągu odznaczało się niebywałą brutalnością.

Miłość dworska ma swe przeciwieństwo wynikające z „esprit gaulois”. Ten drugi typ miłości cechuje wyuzdana fantazja, pogarda dla wszystkich komplikacji społecznych i psychologicznych, pobłażliwość dla egoizmu i kłamstwa seksualnego, wizja nieustających rozkoszy. W rzeczy samej — twierdzi Huizinga — miłość ta nie jest bardziej realistyczna od miłości idealnej, jest także stylizacją, ideałem nie mającym nic wspólnego z życiem. Tylko jest ideałem rozpusty a nie cnoty, jak poprzednia.

„Esprit gaulois” — duch galijski, wyrażał się przede wszystkim w epitalamie, w pieśni weselnej, wyrażającej w groteskowych i pornograficznych alegoriach wszystko to, co miłość idealna przemleczła.

Przez wszystkie czasy rzeczywistość była bardziej zła i brutalna niż przedstawiał wyrafinowany ideał estetyki dworskiej, ale był też lepszy i bardziej czysty niż te wulgarnie jej przedstawienia, które niesłusznie nazywano realizmem.



Jedną ze sprzeczności pomiędzy ideałami etycznymi a życiem było okrucieństwo. Autor książki nie porusza ciekawej problematyki prawnej i prawnoproceduralnej epoki, przytacza jedynie fakty malujące najbardziej odrażającą cechę Średniowiecza. Każdą skazańców, zwłaszcza ich ćwiartowanie, było najbardziej lubionym widowiskiem tłumów. Mieszczanie z Mons zakupili za wysoką cenę skazańców, by cieszyć się widowiskiem jego męki. Przyjemność taka nie była obca i rycerzom a także władcom. Gdy Maksymilian austriacki został więźniem w Bruges, wtedy sprowadzono najlepszych malarzy współczesnych by mu ozdobił cele oraz ustawiono szafot tak, by dostojny więzień mógł bawić swe oczy okrutnymi widowiskami.

Okrucieństwo i sadyzm połączone z łatwowiernością, brakiem krytycyzmu i sceptycyzmu, były źródłami słynnych procesów czarownic, które przeciągnęły się poza epokę renesansu.



Książkę Huizingi można by porównać ze znanym dziełem Burckhardta „Kultura Odrodzenia we Włoszech”. Huizinga właściwie powinien również ograniczyć w tytule zakres terytorialny swego dzieła, bowiem przede wszystkim zajmuje się Francją. Pisze jeszcze trochę o Holandii i Belgii, rzadkie natomiast są wzmianki o Anglii, a nie prawie nie ma o Niemczech.

Materiał naukowy u Burckhardta jest znacznie bogatszy. Nic dziwnego — Odrodzenie zostawiło nam w spadku znacznie więcej dokumentów niż Średniowiecze. To małe zezemplifikowanie dzieła Huizingi wyszło mu w rezultacie na korzyść. Cechy epoki giną niekiedy przywalone masami przykładów historycznych. Huizinga nie przeciążając książki, spełnił postulat naukowej poprawności a prócz tego dał książkę nie tylko pożyteczną, lecz i ciekawą.

Wysiłkiem mózgow

aż na sam dół (a daleka to i żmudna droga) — coraz wyraźniej słychać wesoły stuk młotów, zdyszane grzyzły pił, pokrzykiwania robotników, coraz gęstszy wyrasta dokoła las deskowania i coraz lepiej można ocenić ogrom pracy już włożonej i tej, która jeszcze pozostała do zrobienia. I tak wewnętrzne sklepienia żebrowane, o typie ostrołukowym, których łuki jarzmowe wykonano w roku ubiegłym — są już częściowo przesklepienne. Na św. Janu przewiduje się udostępnienie wiernym naw bocznymi. Nad nawą główną przygotowano deskowania i w najbliższych miesiącach przystąpi się do sklepienia. Okna, mające już kamienne laski, oszlone są przewożonym szkłem matowym, bo brakuje na razie tak nieodzownych dla gotyckiego wnętrza witraży. Na ukończeniu jest kamienna latarnia nad Kaplicą Biczowania, w roku bieżącym wykończona została i otynkowana podziemna krypta oraz przejście do łoża królewskiej, w którym, nota bene, odkryto kawałek zabytkowego muru z gotyckiej profilowanej cegły XV wieku.

Nie skryzalizowana jest jeszcze ostatecznie koncepcja fasady. W lecie ubiegłego roku wmontowano próbną makietę, w której prof. dr.

Dokończenie ze str. 5)

Jan Zachwatowicz zdecydował jednak wprowadzić pewne modyfikacje. Zabawna była reakcja wierznych na zdjęcie makiety — przybiegali przerażeni, pytając, czy to źle położony tynek już odpadł?...

Słuchając tak i oglądając, docieram wreszcie ze sfer podobieżnych do stalego ładu katedry. Istna tu dżungla. W labiryncie deskowania swobodnie poruszają się wyłącznie tubylcy, chodzący po sobie tylko znanych tropach. Ich pracowite cienie raz po raz przemykają wąskimi ścieżkami. Wielu robotników pracuje przy odbudowie od samych początków. Wzruszający jest ich stosunek do katedry, cechujący zresztą cały zespół, od naczelnego inżyniera począwszy. Choćby taki przykład: robotnik Jan Lankiewicz mieszka w Piasecznie. Ładny kawałek drogi — kolejka na Dworzec Południowy i potem na drugi koniec miasta.

— Nie może pan pracować na Mokotowie?

— Dla czego hym miał nie móc? Buduje się dosyć i tam. Tylko tak jakoś, niby, że wolę mieć i dalej.

aby tylko przy katedrze... pierwszy tu łopata ruszałem w tych gruzach, to się i zostaną do końca — dodaje w formie usprawiedliwienia, jakby zażenowany mimowolnie zdradzo-ny przywiązaniem.

Tak to, bez wielkich słów i patetycznych gestów, w niewdzięcznym trudzie dnia powszechnego, odbudowująca katedrę załoga zdobywa się nieraz na prawdziwe poświęcenie.

Tym, którzy długie, bezsenne noce spędzali nad wykresami i obliczeniami, tym, którzy z młotem i kielnią w ręku mężnie wytrzymywali na murach, upał i zawieruchę, tym wreszcie, którzy oddawali swój trudny w pierwszych latach grosz — część i chwala: wysiłkiem ich mózgow, rąk i serc katedra św. Jana przywrócona została do życia. Tragiczna katastrofa z roku 1944 pozostała dzięki temu w pamięci prz. szłych pokoleń jako jeden z etapów burzliwego żywota starej świątyni — bezcennego skarba pamiętek narodowych i dostojnego świadka historycznych wydarzeń.

Wanda Piętkowska

Materiały wykorzystane w niniejszym artykule pochodzą m. in. ze zbiorów prof. Cz. Olszewskiego i Muzeum Narodowego w Warszawie.

NOC W SZPITALU

się, zaczęła nasłuchiwać. Było jednak cicho. Szary świt stał już przed nią w prostokacie okna. Pierwsze tramwaje postukiwały w dole. Widziała je z góry, jak jechały przedko, błyskając latarniami niby gwiazdami, które ktoś zapomniał zgasić. Gmach szpitala zdawał się spać mocniej niż o jakiegokolwiek innej godzinie nocy. Nie odzywał się żaden dziecinny głos. Wysła na korytarz, szła bezszelestnie wzdłuż oszklonych drzwi. Zaglądała do każdej sali. Drzwi separatyki były uchylone. Wsunęła w szparę głowę. Pielęgniarka siedziała sztywno wyprostowana, sapiący oddech dziecka rozlegał się wyraźnie. Wstuchiwała się w niego przez chwilę. Potem cofnęła się i wróciła do dyżurki.

S PLOTŁA swe rozmyślenia jak się łączy zerwaną na kołowrotku przędzę. Cichy głos w konfesjonale, straża na ulicy rozlegające się echem w nawie kościoła, echem, które zdawało się biegać po ścianach, tłum między figurkami aniołków, wysuwających swe pulchne nóżki spod sztywnych złotych przepasek, rozkruszą na drobniejsze dźwięki. Tamtego wieczoru jej rozpacz osiągnęła swój szczyt. Pragnęła tylko jednego: umrzeć. Dławił ją wstręt do zdrady, jaką odkryła w sobie. Pragnienie spowiedzi spadło na nią niespodziewanie. Musiała komuś powiedzieć swój bunt. Szybko podniosła się z klęczek i podeszła do zanurzonego w mroku konfesjonału. Mówiła, długo, gwałtownie, jak ktoś, kto się domaga sprawiedliwości. Człowiek w drewnianej budce słuchał ją cierpliwie poruszając się tylko od czasu do czasu ciężko, jakby mu cierpły nogi. Kiedy odezwał się — głos jego zabrzmiał niepewnie. Od pierwszego słowa zrozumiała, że nie wie, co ma jej naprawdę powiedzieć. A mimo to słuchała go. Miała poczucie jakby beśzta tamtego umocniła ją. Ich rozmowa musiała trwać długo, bo gdy odeszła od konfesjonału i obsunęła się znowu na kolana ktoś dotknął jej ramienia. Za nią stał wąsaty zakrystian i mówił głosem asmatycznym: „Niech już pani idzie. Trzeba zamknąć kościół. Już późno. Godzina policyjna...”

W jej rozmyślenia wdarł się stukot zatrzasnkujących się na dole drzwi od windy. Potem rozległo się głucho stęknienie, gdzieś aż w trzewiach budynku. Warkot sunął w górę wprawiając mury w lekkie drżenie, by skończyć się wreszcie twarde czknięciem. Znowu trzasnęły żelazne drzwi. Posłyszała ciężkie, znane sobie dobrze kroki.

Zerwała się z krzesła. W drzwiach natknęła się na profesora Massalskiego.

— Dzień dobry, koleżanko — przywitał ją. — Cóż, widzę, że pani nie zmrzula ani na chwilę oczu. Jak pani pacjent?

— Bez zmiany. Ale pan profesor tak rano...

— Och — poruszył ręką, jakby nie było o czym mówić. — Skoro bez zmiany, to chyba nieźle... — Swym poważnym, powolnym krokiem wszedł do dyżurki. Podeszedł do umywalki. Nie spiesząc się mydlił dłonie. To chyba nieźle — powtórzył. — A poza tym? Jak Basia?

— Dobrze, panie profesorze, spała całą noc.

— A ten chłopiec ze złamanym barkiem?

— Także dobrze.

— Przyszedłem wcześniej, bo chciałem zobaczyć... Wie pani, zastanawiałem się wieczorem, co by można zastosować do tego dziecka z he-

mofilią. Obudziłem się rano, znowu myślałem i już spać nie mogłem. No i ten pani pacjent nie dawał mi spokoju...

— Bardzo jestem panu profesorowi wdzięczna...

— Och, wdzięczna! Czy to my mamy być sobie wdzięczni? My, lekarze? Nie, koleżanko. A rodzice naszych pacjentów... Czy ja pani opowiadałem kiedy, jaką przed wojną miałem historię z żoną profesora Kossobudzkiego? Nie? Niech pani wyobrazi sobie, że ta pani wyjechała z Warszawy, a podczas jej nieobecności jej synek, Michaś, czepiał się tramwaju, spadł i dostał się pod wagon. Przywieźli mi go w stanie bardzo złym. Wyglądało na to, że nic z dziecka nie będzie. Późnym wieczorem wzięłem się do operacji. Grzebię się jak mogę a moją pomocnicą jest bardzo młoda pielęgniarka. Pacjent raz po raz traci tętno... A w najtrudniejszym momencie gaśnie światło... Już nie miałem żadnej nadziei. Kiedy mówię pani, naprawdę — skinał głową w odpowiedzi na nieufny uśmiech Anny — ale w końcu jakoś udało się... W dwa dni później pani profesorowa przyjechała do Warszawy — a już wszystko wtedy było dobrze — i do mnie z pretensją: dlaczego pan z operacją Michasia nie zaczął do mego powrotu? Właśnie chciałem pana prosić, aby pan przy jakiejś okazji wyciął mu wyrostek robaczkowy. Po co się ma potem drugi raz dziecko rzeźwić?

Przez chwilę śmieli się oboje dyskretnym, zawodowym śmiechem.

— No to chodźmy zobaczyć tego pani pacjenta.

Przechyliwszy głowę na prawe ramię Massalski przyglądał się czas dłuższy wynurzającej się spomiędzy bandaży bladej twarzy dziecka.

— Czy koleżanka zwraca czasami uwagę na kolor ust pacjenta?

— Przyznaję się, że nie...

— Czasami coś to mówi... Zresztą może się mylić.

T AKI już był Massalski: zamysłony, można by pomyśleć roztargniony, nie dostrzegający tego, co się koło niego działo a nagle robiący jakąś nową, nieznaną oficjalnej nauce obserwację! Nigdy jej zresztą nie narzucał, nie uważał za pewnik. Czasami tylko prosił swych młodszych kolegów, by chcieli coś takiego zaobserwować. Przeważnie chodziło o drobiazg — ale zdarzało się już kilka razy, że ten drobiazg okazywał się odkryciem wielkiej wagi. Potem gdy przychodziło jakieś nowe zagraniczne dzieło, w którym pisało się z wielkim hałasem o tym właśnie odkryciu, Massalski uśmiechał się łagodnie. „Widzi pani, mówił do Anny, oni to dopiero teraz odkryli. A myśmy to już dawno stosowali...”

Gdy wyszli na korytarz zapytała: — Co pan profesor myśli o tym przypadku?

Massalski włożył końce palców w kieszonki kamizelki.

— Pani koledzy powiedzieli pani o tym wczoraj...

Konsylium wszystkich lekarzy oddziału odbyte poprzedniego dnia wypowiedziało się jednogłośnie, przeciwko Annie i wobec milczenia profesora, że sytuacja jest beznadziejna.

— Ale co pan profesor o tym myśli? — powtórzyła swe pytanie.

— Hm — mruknął. Przesunął dłonią po złocistopakowatych włosach, wijących się lekko na skroniach. — Wie pani — podjął — miałem kiedyś bardzo podobny przypadek. Tak samo kość utknęła w mózgu. Operacja była bardzo ciężka i nie udało się. Trzeba ją było powtórzyć w warunkach nieprawdopodobnie trudnych! To było podczas niemieckiej okupacji: brakło narzędzi, materiałów sterylizacyjnych, wszystkiego...

Dokończenie ze str. 7)

— A jaki wynik?

— Niestety...

— Tym niemniej operację trzeba powtórzyć.

— Tak sędzę. Pani powinna ją powtórzyć.

— Ja? Pan profesor chciałby, abym to ja ją zrobiła?

— Tak mi się wydaje. Wiem, że pani, koleżanko, gotowa jest walczyć o życie każdego dziecka do ostatnich granic swej umiejętności. Niech pani operuje. Będę oczywiście pani asystował.

— Czy jednak pan profesor nie przecenia moich sił?

— Nie, nie przeceniam ich. Zresztą — za rano abyśmy sobie mówili komplementy, prawda? Widzi pani, w pani jest materiał na prawdziwego lekarza... Bo to tak: można być lekarzem dobrym, utalentowanym, nawet genialnym. Można mieć oko, niuch, rękę... Prawda? Ale prawdziwym lekarzem to jest taki wariat, który zna w życiu tylko jedną sprawę: walkę z chorobą. No nie? I to co mówię, to nie jest, koleżanko, literatura. Nie mówię za dużo: w pani jest materiał, dobry materiał...

Jakieś echo odpowiedziało tym słowom we wspomnieniach Anny. Poruszyła się niespokojnie.

— Zgadzam się z tym, co pan profesor mówi o lekarzu. Ale ja...

Przerwał jej:

— Cierpliwości, koleżanko, cierpliwości. Powtarzam: pani jest materiałem na prawdziwego lekarza. O której chce pani operować? O pierwszej?

— O pierwszej, panie profesorze.

— Dobrze. To ja teraz wrócę do

domu na śniadanie, będę tu z powrotem około dziewiętej, posiedzę trochę nad papierkami i wykazami, potem zrobię obchód, a o pierwszej zaczniemy. Dobrze? No to tymczasem, koleżanko, do zobaczenia. Gdyby było co ważnego, proszę, jak zawsze natychmiast posłać po mnie.

Powoli ściągał fartuch i nakładał marynarkę.

— A z tą hemofilią to mi przyszedł do głowy pewien pomysł. Miałem kiedyś taki przypadek...

Stojąc na korytarzu przed drzwiami windy, z palcem utkwionym w kieszone kamizelki, opowiadał jej przez dobre pięć minut o zastosowanym przez siebie niegdyś zabiegu. Potem zatrzasnął za sobą drzwi. Winda stęknęła i pojechała w dół.

Zamyślona powróciła do dyżurki. Słowa profesora poruszyły ją do głębi. Zależy pani na życiu tego dziecka, w pani jest materiał na prawdziwego lekarza... Czy mi naprawdę tak bardzo zależy na życiu Krzysia? — zastanowiła się. Czy mi chodzi o Krzysia? Tylko o niego? Włożyła dłonie w kieszenie fartucha i spacerowała wolno od drzwi do okna i z powrotem od okna do drzwi. Jak to powiedział wtedy ten głos w mroku: „Widzisz, to nie tylko ty... Są i inni, którym się wydaje, że wszystko przegrali... Ale może tak jest, że Bóg dlatego wszystko inne człowiekowi zabiera, by go pchnąć na tę jedną, tylko jego drogę... Że tę drogę jemu przeznaczył...” Wzruszyła ramionami. Stare wspomnienia. Aż dziwne, że się jeszcze odzywają. Od dawna pogodziła się z tym, co ją męczyło wtedy. Zamiast o tamtym, usiłowała myśleć o rzeczach bliższych, zaledwie sprzed paru tygodni. Przymru-

żywszy oczy widziała siebie na brzegu rozległego, białego dywanu, nad który wyhygnyły różowe, różowociałe od Meisenowskiej porcelany, góry od Kosistej po Ciemiak. Powiedział, stojąc przy niej: „otwierasz mi oczy...” To nie to, czego oczekują od niej Andrzej i tamci... Prawda — jedno i drugie jest kompromisem. Ale może naprawdę nie ma żadnego kompromisu? A zresztą — uśmiechnęła się do siebie ironicznie — kompromis jest czymś, co się przeżywa najłatwiej...

Dzień stawał się wciąż oczywistszy. Z dołu, poprzez klatkę schodową, podnosiły się coraz wyraźniejsze głosy. Na piętrach budziły się z płaczem dzieci. Winda szła to w górę, to w dół, stukając wprowadzając do niej wózek. Ruch na ulicy przybrał na sile: jechały tramwaje, ciężarówki przełykały się pobrzeczem jezdnii. Chodnikiem sunęła fala ludzka. Miasto ożyło. Już nie tylko oni i ja, myślała patrząc na czerwone mury Marszałkowskiej Dzielnicy. Z bocznych drzwi kościoła wysypało się mrowie czarnych postaci. Jezdnia maszerowała oddziałek wojska, błyskając czerwienią lampasów na czapkach. Coraz więcej dzieci płakało, na korytarzach słychać było kobiece głosy. Z dołu po schodach człapała ciężko portierka nawołując: „Zosia! Zosia! Powiedz doktor Kamińskiej, że ją do telefonu...” To przypominało Annie o danej obietnicy. Niechętnie, ociągając się podeszła do drzwi. Stała jej w pamięci zakończenie wczorajszej rozmowy. Ona jednak wie, pomyślała. Ale obiecałam... Wysła z dyżurki. Natknawszy się na Felicję powiedziała:

— Ja, pani Felicjo, idę tylko na chwilę na dół, do aparatu...

Zstępowała w dół, jakby zanurzała się w zimną wodę.

Jan Dobraczyński

Gorzki żal Marii Samotrzejkiej

MISTERIA Wielkanocne cieszyły się w średniowiecznej Francji ogromną i zupełnie zasłużoną popularnością i od 1371 r. grywane były rok rocznie przez bractwa kleryków i świeckich po rozmaitych miastach i miasteczkach. Prócz tradycji, świadczy o tym pomalowane na piśmie, którego na odegranie podobnego misterium udzielił pobożnym mieszkańcom Paryża dobry król Karol V w 1380 r.

Niżej zamieszczamy fragment jednego z misteriiów, mianowicie pięknej „Pasji Pałatynej”. Pochodzi ona z pierwszej połowy XIV w. i odnaleziona została dopiero około 1925 r. w bogatych zbiorach Biblioteki Watykańskiej.

Obok głębokiej treści uczuciowej i religijnej, właściwej owym dramatom o Męce Pańskiej, cechuje ją prostota budowy i środków artystycznych. Meło ma niewyszukaną. Rymy są na ogół niezmiernie ubogie, jakie się u nas nazywa „częstochowskimi”. Język również jest ubogi, ale wyrazisty, jaki znajdujemy u nas bądź w „Żywocie” Opecia, bądź w Kancjonale Przeworszczyka.

MARIA MAGDALENA RZECZE:

Och, Panie, biednam, nieszczęśliwa: Przyszła do Ciebie śmierć rychliwa i mija dzień, a mnie nie wzywa Ciebie zabrała, a ja żywa:

Corze płaczącej po mym królu: zabity przez złość braci mojej, jakem wrożyła, pełna bólu, ciągle trawiona niepokojem.

Była mi w Tobie ludzkość rada i dosyt serca i uśmiechu, nie było smazy, ani grzechu i ani pycha, ani zdrada.

Wszystką mnie do cna przemieniłeś Panie, wyzuteś nam się z ciała, ale ja będę Cię szukała aż najdę, lub mi nic nie mile.

Ha, Juda! Parzą dłoń srebrniki, żeś Pana gwoli nich zatracił. Nikczemnieś Jemu się odplacił za dobroć, której niemasz w nikim.

Ha, Juda, bój się czarnej zbrodni. Dlaczegoś nie pomyślał w pierwej i szat na piersiach nie rozerwał, nim się zaprzateś tak niegodnie?

Pytam, najdrożsi: Jezu Święty, zali nikogo nie miał zgola

przy sobie, nie miał Apostołów przeciwko sile, gdy był jęty?

Oprawcy, powiadajcie słowo, musielście zausać Ludzie i zabić Pana, podli ludzie? Na wiek przekleństwo waszym głowom!

Ulżyłabym, zaprawdę męce, jeślibym mogła dotknąć Grobu i usty Pańskich stóp tych obu. Nigdybym nie żądała więcej.

Ty jesteś, Dobry, Słodki Panie, ulga wśród cierpień i obrona. Zobaczysz, Panie, że Ci skonam, jeżeli z martwych nie powstaniesz!

MARIA JAKUBOWA RZECZE:

Na próżno siebie przemałam. Panie, oto na mych wargach wielka żalność, głośna skarga, że Cię grobom nie wyblagać!

Serce niebadze struchlało. Komużeś się, serce, zdało? Stało się, co stać się miało. Widzę Jego twarz zbialałą.

Alboż znaleźli poganie jakiś w Tobie grzech, o Panie? za co więzy, biczowanie i na Krzyżu krzyżowanie?

Panie! Lecz nie ztorczyłeś katom, gdy na Krzyżu byłeś. Jeszcze za nich się medliłeś, śmierć im straszną przebaczyłeś!

MARIA SALOME RZECZE:

Corze mi, Panie! Jam szalona: odkądżeś tam, na górze, konał, och, odtąd przed oczyma stoi mejomi obraz Męki Twojej!

Gdziebym nie poszła, Ty się jawisz przede mną i na niebie krwawisz i gwoździe żarzą się i ciernie O, ludzie! O, niemiłosierni!

Panie, zaznałeś tej nieloli świat Cię krzyżował, Bóg pozwolił.

MARIA MAGDALENA RZECZE:

Więc się litujcie takiej zgrozy i dajcież jej wyplakać słozy. Pana mojego nie ujrzymy. Wiem — bez powrotu Go tracimy. Siostry, inaczej juści, nie być!

Do kupców śpieszno pobiec trzeba i prosić, niechaj nam usłużą, niech zaraz niosą łagiew dużą i w łagwi dużej wonność drogą, byśmy namaścić Pana mogli.

MARIA SALOME RZECZE:

Mądra twa mowa, siostrzo miła. Zrobimy, jakeś umyśliła, ino idź naprzód. My za toba.

Z oryginału starofrancuskiego sparafrazował

Janusz Kawecki





Oczyrna laika

INTERESUJĘ się filmem jako laik, którego pasjonują przede wszystkim teoretyczno-estetyczne prawa nowej sztuki. Uważam za niewybaczalny błąd, że narodziny Dziesiątej Muzy i jej dotychczasowy żywot nie został — jak do tej pory — wykorzystany dla gromadzenia i uogólniania wniosków dotyczących życia muz. Bez przenośni: film uważam za sztukę specjalną, odrębną, ale mogącą wiele wyjaśnić w działaniu ogólnych praw estetycznych.

Bela Balazs miał rację, gdy podnosił larum, aby powstały specjalne instytuty, mogące wykorzystać badania nad filmem dla ogólnych badań teoretycznych nad sztuką.

Ale do rzeczy, do rzeczy! Wielką ważność teoretycznych spraw filmu podnosi przede wszystkim (choć nigdy wyłącznie) wielka funkcja społeczna nowej sztuki. Film niemal shegemonizował sztukę. Dynamiczność i perspektywy jego rozwoju każą traktować go jak najbardziej serio, jako dziedzinę sztuki, a nie tylko jako formę rozrywki.

Te trudny mają wypuklić ważność tzw. spraw formalnych. Nie bójmy się „formalizmu”, który ma służyć ustaleniu i rozszerzeniu społecznej funkcji filmu. A pracując nad teoretycznymi problemami estetyki filmowej, wychodźmy zawsze od oglądu konkretnego. A w oglądzie konkretnego nie powinniśmy lekceważyć sądów laika. Są one miernikiem nośności tych czy innych walorów obrazu, są niekiedy jednym z elementów jego społecznej obiektywizacji. Niechaj więc i ten głos laika o „Młodości Chopina” na coś się przyda.

„Młodość Chopina” oglądałem do tej pory dwa razy. Na pewno jeszcze będę ją oglądał. Uważam ten film za najlepszy polski film powojenny. Uważam ten film za film bardzo dobry. Wyjął mi wiele z Chopina i powiedział mi dużo o możliwościach sztuki filmowej. Różne speccmany powiedzą mnóstwo mądrości w terminach fachowych. Laikowi wolno mówić wprost.

„Młodość Chopina” przekonująco ukazuje przenikanie muzyki z życia zewnętrznego twórcy do jego przeżyć wewnętrznych, skąd przetworzona na wyniki spod palców cudotwórczych w ostatecznym kształcie krystalicznym. W filmie muzyka atakuje Chopina na każdym niemal kroku. Przeciwny widz może pojąć przynajmniej w sposób ogólny związek sztuki z życiem, dzieła z człowiekiem, człowieka z artystą. Ta współzależność została ukazana w sposób filmowo konsekwentny. Notując swoje wrażenia nie mogłem na ich marginesie nie odnotować laicko bezczelnej uwagi pod adresem miłośników filmu niemego: co ten wspaniały niemowa powiedziałby nam o Chopinie?

Ukazany w tym filmie twórca zbliżony został do widza przez oddalenie. Zbliżony psychologicznie przez oddalenie historyczne. To znaczy: uwyraźniło go nam tło epoki, wydarzeń, klimatu tamtego czasu. Realizatorzy filmu wykazali wielką lojalność wobec dokumentu, wielki szacunek dla detalu. Z właściwie stonowanej perspektywy historycznej kontury zjawisk występują ostro i wyraziście.

Oczywiście, trzeba było operować skrótami. Skrót czasowo-przestrzenny jest dla filmu zjawiskiem typowym. Ale zawsze trzeba zaznaczać jego skrótowość, jego umowność. I tu zdaje się twórca filmu pałł ofiarą zemsty naruszonego prawa. Film o młodości Chopina jest właściwie pomysły jako plastyczny faktomontaż. Związek między poszczególnymi scenami nie jest związkiem ciągłości, lecz związkiem przerywanego paupami następstwa chronologicznego.

Zamazywanie tych paup przez technikę nawet efektownych przejść jest jednocześnie zamazywaniem, skróceniem, a więc i zakłóceniem perspektywy. Może zdziorientować widza, a więc odebrać mu pełnię zadowolenia z przeżywania dzieła sztuki. Śmieję się, ale na mój laicki pomysłunek rozsądniejsze filmowo i nawet bardziej filmowe byłoby po prostu zastosowanie jakichś barbarzyńskich wiatraczków, wachlarzyków czy zbiegających się koncentrycznie zaciemnień blendy, po których następowałby nowy obraz. Wymowa tego byłaby równa akcentowaniu czasowej różnicy między jednym przejściem a drugim, między jednym a drugim epizodem.

Na pewno nie rozbiłoby to jedności filmu. Jest on koncepcyjnie bardzo zwarty, a jednolity styl nadał mu konsekwentną gra artystów. Prawie wszyscy godni są pochwały. Najwięcej — Wollejk. Nie lubiłem jego lalusiowatej, manierycznej gry na scenie. W „Profesji pani Warren” drażnił tylko. A tu — artysta wielkiej klasy! Rzetelny twórca wysiłek opłacił mu się stokrotnie. Oby każda jego następna rola stała na tym samym poziomie.

O pozostałych trudno pisać. Wielu zagrało doskonale. Jak tu w kilku słowach ująć kreację Kurnakowicza, Śląskiej, Buszyńskiego czy epizodyczny majstersztyk Ciecierskiego? Nie jestem recenzentem, więc nie będę poklepywał po ramieniu i wystawiał cenzurek. Nie będę stawiał słabej trójczyny Duszyńskiego i innych. Nie będę Fordowi robił wrzutów za naturalistyczny passus z biustem Skarżanki. Nie pasowało to do stylu filmu, nie „siedziało” w ramach ogólnej koncepcji, było jakieś zbyt włoskie, w naszym filmie nieargumentowane artystycznie.

To małe rzeczy. Wielką rzeczą jest owoc zbiorowego wysiłku, dzięki któremu „Młodość Chopina” stanowi film, z którego może być dumny „Film Polski”. A my — obejrzymy go na pewno jeszcze nie jeden raz.

Hilary Kłyptaś

LESZCZ

»MŁODOŚĆ

SCENARIUSZ I REŻYSERIA
ALEKSANDER FORD
WG NOWEL O CHOPINIE:
JERZEGO BROSZKIEWICZA, GUSTAWA BACHNERA, STANISŁAWA HADY-
NY I JANA KORNGOLDA
DIALOGI: LEON KRUCZKOWSKI
OPRACOWANIE MUZYCZNE
KAZIMIERZ SEROCKI
ZDJĘCIA
JAROSŁAW TUZAR
DEKORACJE
ROMAN MANN
CHARAKTERYZACJA — J. DOBRACKI I J. KOBIK
KIER. PRODUKCJI — KAZIMIERZ GASZEWSKI
W ROLACH GŁÓWNYCH
FRYDERYK CHOPIN
K. GLADKOWSKA
PROF. J. ELSNER
JOACHIM LELEWEL
Ks. A. CZARTORYSKI
Ks. K. LUBECKI
NCWOSILCOW
T. WOJCIECHOWSKI
S. WITWICKI
B. ZALESKI
M. MOCHNACKI
S. GOSZCZYŃSKI
ZUSKA
CZESŁAW WOLLEJKO
ALEKSANDRA ŚLĄSKA
J. KURNAKOWICZ
T. BIAŁOSZCZYŃSKI
G. BUSZYŃSKI
S. BUTRYM
L. PIETRASZKIEWICZ
I. ŚMIAŁOWSKI
J. DUSZYŃSKI
J. PIETRASZKIEWICZ
J. KALISZEWSKI
Z. ŁOBODZIŃSKI
J. KRECZMAROWA
W POZOSTAŁYCH ROLACH
J. CIECIERSKI, F. CHMURKOWSKI, S. DREWICZ, A. GASSOWSKI, M. GOR-
CZYŃSKA, O. JACEWICZ, C. KLIMCZAKÓWNA, S. ŁAPINSKI, M. MACIEJEW-
SKI, J. PILARSKI, H. SKARŻANKA, J. ŚCWIARSKI, S. ŚRÓDKA, K. SZU-
BERT I INNI.

Z recenzjami filmowymi nie jest u nas najlepiej. Powiedzmy otwarcie: jest kiepsko. Nie czas tu i nie miejsce na analizowanie przyczyn tego stanu. Ważne są jego skutki. Mianowicie: rozbieżność recenzji pisanej, szepianej po kawiarniach i tej często nieświadomionej, spontanicznej przeżywanej w szerokim kręgu odbiorców. Te rozbieżności nie wpływają dodatnio na pogłębianie kultury filmowej, w pewnym sensie ograniczają częściowo funkcję społeczną filmu. Tu już trzeba podnosić głos, trzeba starać się o naprawienie błędów, trzeba zapobiec kontynuacji złych tradycji. Podobnie bowiem jak z innymi filmami stało się i z „Młodością Chopina”.

W rezultacie wytworzyła się jakaś niezdrowa atmosfera krytyki oficjalnej i nieoficjalnej. Opinia beznamiętnych, schematycznych, suchych, które się publikuje i osobistych, krytycznych, słusznych albo fałszywych — ale przeżytych, które przekazuje się „prywatnie”. Dysproporcja zresztą między tym, co się o filmie pisze, i tym, co się o nim mówi, jest bardzo duża.

System „obgadywania” dzieła sztuki po cichu jest oczywiście szkodliwy. Jest objawem jakiegoś zakłamania i braku odwagi. Sądzę, że film Forda zasługuje na ocenę, w której zmieści się i entuzjazm dla tego, co jest w nim wielkim osiągnięciem artystycznym i krytyka usterek. W tym wypadku, moim zdaniem, nie może ona przeszkodzić stwierdzeniu, że „Młodość Chopina” jest szczerym dziełem sztuki filmowej.

FILM MUZYCZNY

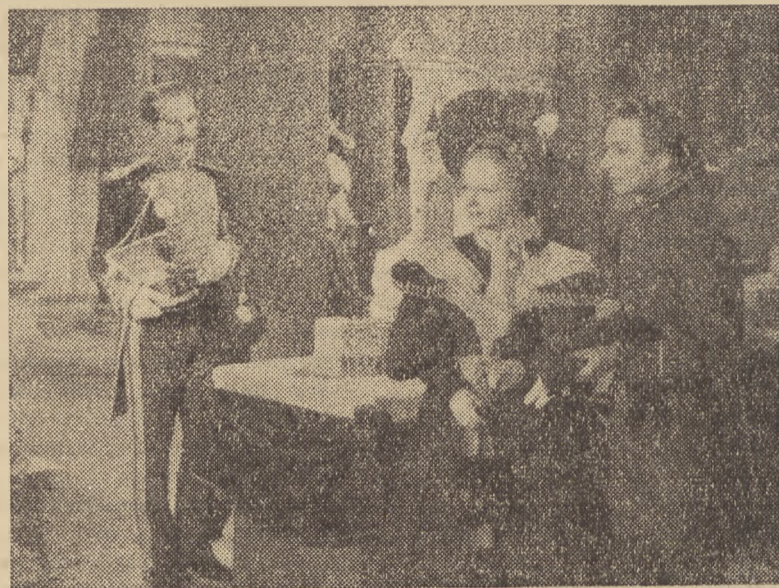
WYDAJE SIĘ, że nie można oceniać filmu Forda nie zastanawiając się, jakie miejsce zajmuje on w hierarchii filmów tego samego gatunku. Sztuka filmowa działa znacznie silniej treściami plastycznymi niż treściami dźwięku (pojętego w najszerszym tego słowa znaczeniu) i dlatego film muzyczny jest jednym z najtrudniejszych rodzajów filmowych. Kiedy pisałam o „Warszawskiej premierze” i zastanawiałam się nad zagadnieniem wbudowania muzyki w fabułę filmu, doszłam do wniosku, że w filmie o twórczości muzycznej muzyka „siedzi” tylko wówczas, kiedy jest jakby bohaterem akcji. Wydaje się, że wszystkie filmy o kompozytorach mniej lub więcej potwierdzały słuszność tego spostrzeżenia. Nie przekonał mnie, że jest inaczej, nawet ciekawy radziecki film o Mussorgskim.

Film Forda jest w tej dziedzinie obrzymim, pionierskim osiągnięciem. Niewątpliwie bohaterem filmu

jest Chopin. Akcję buduje opowiadanie o człowieku i jego twórczości, nie historia jakiegoś utworu. Jednocześnie film jest nasycony muzyką. Nasycony najnaturalniej, tak że nie spostrzeżemy się żadnej sztuczności, żadnych wysiłonych „chwytów fabularnych”, usprawiedliwiających wprowadzenie często dużych partii muzycznych.

Scenarzysta użył sposobów, które nie są jakimś jego wynalazkiem scenariopisarskim: i partie koncertowe, i ilustrację procesu twórczego, i powstawanie koncepcji utworu, i kompozytora grającego dla siebie widzeliśmy w wielu filmach. Potrafił jednak wtopić muzykę w całość fabuły, zbudować sytuację tak, że są z muzyką integralnie związane.

Cały świat dźwięków został w filmie podporządkowany sprawie zasadniczej: wrażliwości artystycznej kompozytora. Można bez przesady powiedzieć, że film pozwala nie tylko usłyszeć muzykę Chopina, ale także słyszeć „cały świat” wyczułonym uchem artysty. Scenarzysta, reżyser i kompozytor Serocki (który, jak słusznie potwierdził Turski na naradzie filmowej, dał kongenialną do muzyki Chopina oprawę



muzyczną) osiągnęli wspaniałą harmonię w interpretacji i wtopieniu muzyki w całość filmu.

Szczytowe osiągnięcia artystyczne to fragmenty, gdzie dobrze zbudowane sytuacje, świetna oprawa plastyczna, wyeksponowana przez reżyserię i montaż łączą się z subtelną dobrze wkomponowaną w sceny muzyką. To epizod początkowy filmu (Lulajże Jezuniu), cała scena wesela chłopskiego, koncert Paganiniego, scena wyjazdu Chopina, epizod powstawania etiudy rewolucyjnej.

Często także muzyka spełnia rolę „budulca” dramatycznego. Są

sceny dramatycznie nieusprawiedliwione, nienajlepiej zespolone z akcją filmu, typowe momenty retardacji, które dzięki muzyce zyskują napięcie uczuciowe (narada u Mochmackiego) Często muzyka daje filmowi ciepło i patos. Czasem wyeksponowane są po prostu dźwięki (tentent koni, słowki, szum wiatru, deszcz), czasem jest pokazana cała droga kształtowania się utworu muzycznego. Zawsze jednak dzięki reżyserii i świetnej kompozycji muzycznej film nie tylko nie wulgaryzuje skomplikowanej sprawy procesu twórczego, ale ją bardzo pięknie zbliża i wyjaśnia. Osiągnięto tu prawdziwość i naturalność, która cechuje szczerze dzieło sztuki.

Budując „sytuacje muzyczne” realizatorzy potrafili filmowymi środkami wyrazić dwie ważne i świetnie przeprowadzone sprawy. Zbliżyć Chopina-twórcę, i wyjaśnić, wskazać głęboko narodowe, polskie cechy jego muzyki. Zwrócić uwagę nie tylko na związek utworów Chopina z melodiami ludowymi, z żywiołowością i smutkiem chłopskich piosenek, wytłumaczyć jak uczucia, wrażenia, myśli przetwarzały się w utwory muzyczne, ale także subtelnie pokazać trudny do zasugerowania związek muzyki Chopina z polskim krajobrazem tak pięknie wydobytym w filmie.

SCENARIUSZ I HISTORIA

AKCJA filmu pokazuje fragment życia Chopina. Fragment najważniejszy: młodość, okres kształtowania się i dojrzewania osobowości artysty. Film pokazuje Chopina-artystę, mówi o Chopinie-kompozytorze, mówi o wydarzeniach, które miały wpływ na jego twórczość, o środowisku ludzi, którzy wpłynęli na jego poglądy, wyjaśnia źródła jego muzyki. Wszystkie te elementy zachowują właściwą proporcję, każdy z osobna jest trafnie wydobyty.

Scenariusz jednak ma dużą wadę kompozycji. Jest wiele scen, które można usunąć, przesunąć, rozbudować, nie mącąc dramaturgii filmu.

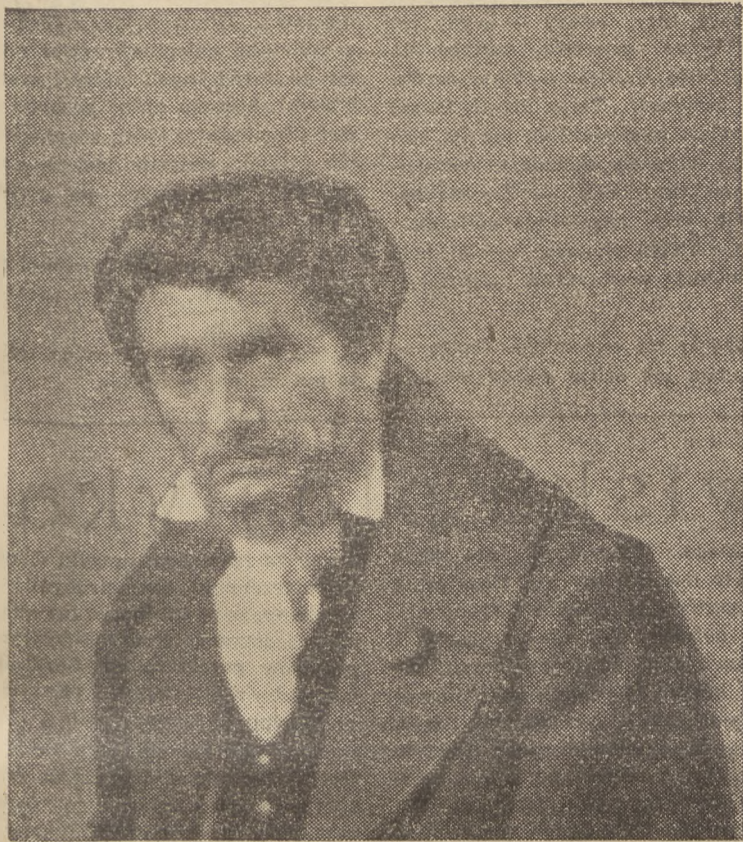
Przed naradą filmową widzieliśmy „Młodość Chopina” w wersji, w której nadmiernie było rozbudowane tło historyczne, w której był jakiś przerost wątków nie związanych

bezpośrednio z tematem. Sceny te zostały wycięte bez żadnej szkody dla kompozycji filmu. Wydaje się, że i z obecnej jego postaci można by było usunąć, a często przesunąć szereg epizodów bez szkody dla całości (dyskusję u Mochmackiego, piękny sam w sobie epizod z „mazowieckim Wernyhorą”, scenę z katowanym chłopem, historię ze szpiegiem, cały fragment parystki). Nie twierdzą, że sceny te są w filmie niepotrzebne. Przeciwnie, są między innymi takie, które wzbogacają jego treść, których wycięcie zubożyłoby jego wymowę. Niemniej fakt, że można by je wyciąć bez szkody dla jedności akcji,

CHOPINA

świadczy o tym, że fabuła jest nie-
dostatecznie zorganizowana.

Ten błąd scenariusza zaskakuje
tym bardziej, że poszczególne
wątki są często bardzo trafnie u-
dramatyzowane. Odnosi się jednak
wrażenie, że film jest komponowa-
ny (używając terminu prof. Tatar-
kiewicza) systemem dominowym: ja-
kiś wątek wiąże się bezpośrednio z
poprzednim, do niego jest dobu-
dowany inny, który z nim się łączy, ale
już z pierwszym nie ma nic wspól-
nego. Tak np. ze sprawą Chopina
wiąże się bezpośrednio sprawa po-
wstania. Z rozmową powstańców
jest związana scena ze szpiegiem.
Ale ta scena niczego nie wyjaśnia
(trzy strzały mogły paść w innej sy-



Tadeusz Białoszczyński w roli Lelewela

tuacji), nie jest związana z akcją fil-
mu.

Trudno bez analizy scenariusza i
jego kolejnych zmian precyzyjnie o-
kreślić przyczyny tej wady. Wydaje
się, że koncepcja dramaturgicznego
rozwiązania sprawy fragmentu życia
Chopina i kompozycja tła historycz-
nego powstawały osobno i jakby
niezależnie od siebie organizują bu-
dowę całości.

W tych fragmentach filmu, które
zostały organicznie związane (przy-
gotowywany zamach na księcia, wy-
buch powstania), film jest zwarty i
jednolity, tam gdzie dostrzega się
równoległość, wzajemne wypieranie
się obu wątków, film ma chwiej-
ność kompozycyjną, fabuła tworzy
się z często nieudramatyzowanego
połączenia poszczególnych scen.

To wrażenie zbyt wątej dramatur-
gii powiększa jeszcze fakt, że poza
postać Chopina i sylwetką Gład-
kowskiej film operuje ledwo naszki-
cowanymi, statycznymi sylwetkami
ludzkimi, typowymi postaciami tła
historycznego, pojętego jako opis wy-
darzeń i procesów, ale nie ludzi, któ-
rzy w tych procesach biorą udział.
Nawet najbliższe otoczenie Chopina
zostało potraktowane jako niezróżni-
cowane psychologicznie tło. Wojcie-
chowski, Witwicki, Magnuszewski to
tylko partnerzy, rozmówcy Chopina
— nieobdarzeni własnym życiem,
mający wszelkie cechy sylwetek, ale
nie charakterów.

Koncepcja reżyserska i gra akto-
rów nie stonowała albo stonowała
tylko w poszczególnych wypadkach
błąd martwoży drugoplanowych po-
staci. Zawiedli przede wszystkim od-
twórcy ról przyjaciół Chopina: Śmia-
łowski, któremu zresztą scenariusz
dawał minimalne możliwości i Du-
żyński z nieznośną manierą grający

„siebie samego“. Wyrosła natomiast
dzięki interpretacji Białoszczyńskie-
go epizodyczna postać Lelewela. Są-
dząc, że Lelewel Białoszczyńskiego to
najpiękniejsza kreacja aktorska fil-
mu. Aktor potrafił dzięki skupionej,
przemysłanej w każdym geście grze
dać pokazującej się kilka razy za-
lewdwie w filmie postaci Lelewela
ciepło, prawdę psychologiczną i ży-
cie.

Przekonywające sylwetki stworzy-
li Buszyński (Czartoryski), Kurna-
kiewicz (Elsner), Ciecierski (Malfatti).

Doskonałe są często dzięki reżyse-
rii i interpretacji aktorskiej postacie
zupełnie „trzecioplanowe“ (dziew-
czynka śpiewająca „Lulajże Jezu-

które zbliżają geniusz Chopina. Wol-
lejko jako Chopin artysta, Chopin
tworzący i działający swoją grą,
Chopin przeżywający muzykę, miał
momenty urzekającej szczerości i
prawdy interpretacyjnej. Takie sceny
jak koncert Paganiniego, scena w
mansardzie, a przede wszystkim sce-
na komponowania etudy stanowią
najwyższą klasę kunsztu aktorskie-
go. Ślicznie i bardzo subtelnie został
przez Wollejkę i Aleksandrę Śląską
wygrany motyw miłości Chopina i
Gładkowskiej, z wspaniałą aktorsko
sceną w czasie pożegnalnego kon-
certu.

Ogólnie film daje wrażenie zbliże-
nia do osoby Chopina. Jeśli jednak
zanalizuje się, jakie momenty filmu
to wrażenie wywierają, dostrzega się,
że skupienie akcentów zbliżających
postać artysty następuje wyraźnie w
drugiej części filmu, gdzie jest zary-
sowany wyraźny konflikt, gdzie ak-
cja ma najprecyzyjniejszą, jasną bu-
dowę. W pierwszej części Chopin
jest trochę zagubiony, oddalony w
zbyt rozlewnej, nieuporządkowanej
akcji. To świadczy o tym, jak bar-
dzo na całym filmie zaciążyła dra-
maturgicznie niekonsekwentna bu-
dowa scenariusza.

TROCĘ O SZCZEGÓLACH

DOKŁADNA analiza scenariusza,
prześledzenie jego kolejnych e-
tapów pozwoliłoby stwierdzić, ile
błędów scenarzysty Forda naprawił
Ford reżyser. Patrząc na film do-
strzegamy, że są w nim momenty
wspaniale legitymujące kunszt reży-
serski Forda, jego talent operowania
uogólnieniem, umiejętność wyrażania
pełnych rozmachu scen, zdolność
subtelnej wypowiedzania się sym-
bolami, precyzję w wydobywaniu
wymowy szczegółów. Są jednak i
nieporozumienia. Takim wydaje się
zbyt konkretność bardzo ciekawej
w pomysłach wizji powstania (pojętej
jako ilustracja etudy rewolucyjnej i
plastyczne wyrażenie wewnętrznego
monologu Chopina), która w jej fil-
mowej postaci jest z jednej strony
przesadnie dokładna, nadmiernie za-
opatrzona w realia, a z drugiej
sztucznie alegoryczna i koturnowa.

Przed wszystkim jednak nieporo-
zumieniem jest cała część paryska.

Zanika tu prawie zupełnie wątek
losu Chopina, dochodzi do głosu wy-
łącznie wątek historyczny, ale w ja-
kimś statycznym, alegorycznym uję-
ciu. I sprawa niedoli wygnańców, i
sprawa buntu ludu paryskiego, i bra-
terstwo wszystkich walczących o
wolność zostało potraktowane jak
jeden wielki żywy obraz. Stąd wra-
żenie sztuczności, fałszu stylu, wysi-
lony patos i niemal groteskowość
niektórych momentów

★

NIE tak dawno w pewnej chacie
na Śląsku pewien chłop słucha-
jący przy mnie audycji chopinow-
skiej powiedział: bardzo ładna jest
ta melodia. To jakiś dobry muzy-
kant ten Chopin. Czy on żyje jesz-
cze?

Film Forda powie mojemu roz-
mówcy i wielu innym ze Śląska i z
Mazowsza nie tylko to, że muzyka
Chopina jest bardzo piękna, ale także
opowie, kim był Chopin, jak i dla
kogo tworzył. Zbliży i twórczość, i
postać Chopina.

Film Forda za granicą powie o pol-
skości Chopina, wskaże, jak bardzo
narodowa jest jego muzyka, powie
o pięknie naszego kraju. Zbliży Cho-
pina w kraju, Polskę i Chopina za
granicą.



Sąd muzykologa

„Ostrożnie z superlatywami“ mówimy zwykle wówczas, gdy zamiast
trzeźwego sądu spotykamy serię pochwał. Trudno jednak powstrzymać
się od nich, gdy omówić trzeba „Młodość Chopina“, bez wątpienia naj-
lepszy z dotychczasowych polskich filmów.

Zacząć wypadnie od stwierdzenia, że ukazanie się tego filmu — nie-
zależnie od względów „rocznicowych“ — jest wydarzeniem bardzo „na
czasie“. W roku 1949 dokonano jednego z największych wysiłków w dzie-
dzinie upowszechnienia muzyki: Chopina słuchano wówczas wszędzie —
nawet tam, gdzie dotąd nigdy nie docierały żadne artystyczne ekipy.
W następnych latach nasilenie tej akcji, z natury rzeczy, znacznie osła-
blo. Teraz zaś pojawia się film, który spełni niewątpliwie rolę „lekcji
słuchania muzyki“ Chopina.

Film ten ma wiele, bardzo wiele zalet, toteż wystarczy zwrócić
uwagę jedynie na najważniejsze z nich. Zacząć trzeba od doskonałej
gry Haliny Czerny-Stefańskiej, Wandy Wilkomirskiej i śpiewu Stefanii
Woytowicz; dalej wymienić należy świetny pomysł synchronizacji tańca
weselnego i kalejdoskopowo zmieniających się obrazów, a wreszcie bar-
dzo dobre orkiestry (wiedeńską i poznańską) oraz chóry. Kształtowanie
się myśli muzycznej kompozytora w oparciu o podniety „zewnętrzne“
— pomysł zresztą nie nowy w dziejach kinematografii — oddane traf-
nie i sugestywnie. W liście do Delfiny Potockiej tak o tym pisał Chopin:
„...pierwsze myśli natchnienia złapać trzeba i zapisać na gorąco. Sama
wiesz, że nielatwa, bo umięją mignąć jak błyskawica. A przypomnieć
potem z całą precyzją trzeba. Słowem, zajmuję się, uważasz, łapaniem
najmniejszych cieni natchnienia pierwszego, a one, hycie, jak pchły ucie-
kają“. Stan, który określa się zwykle mianem natchnienia wyprzedzał
żmudną i upartą pracę nad wykończeniem dzieła: przeciętny słuchacz
nie zdaje sobie prawie nigdy sprawy z ogromu pracy, potrzebnej do na-
pisania jednego krótkiego preludium czy etudy, która na pozór wydają
się napisane „od ręki“. W tym samym liście pisał Chopin: „Jeżeli dzie-
ło wypracowane improwizację przypominać będzie, największe wrażenie
uczyni z Muzyczny „podkład“ w formach „Paganini“ w grze Pagan-
iniego (świetna kreacja!), dobry u Gładkowskiej. „Ręce“ Chopina dosko-
nałe (po co otaczać je tajemnicą, skoro niemal wszyscy wiedzą, kto to
gra!). trochę gorzej gdy pokazujemy Chopina „zobaczyć“ (z profilu, nad
klawiaturą), gdyż wówczas widać rozbieżność pomiędzy ruchami rąk
a przebiegiem gry.

Twórcy filmu, wychodząc z założenia, że — jak czytamy w estetycz-
nym wydanym programie — „nauczycielem młodego Chopina stał się lud
— i epoka, w której ów lud walczył o wolność“, ukazali widzom piękno
polskiej sztuki ludowej i patos rewolucyjnego romantyzmu. W ten spo-
sób na dalszy plan usunięta została rola elementów czysto muzycznych
w kształtowaniu się geniuszu Chopina. Ukazać ją w filmie nie jest
wprawdzie łatwo, jednakże — jak się wydaje — można było kosztem
skrócenia przydatnej sceny „paryskiej“ (głównie nieszczególnie wyko-
nywanej „Marsylianki“), wykorzystać kilka epizodów filmu „z zwróce-
nia uwagi na wytworzenia się „artystycznej świadomości“ Chopina.

I tak np. gdy Slavik gra Bacha, aż prosiło się o wykazanie roli,
jaką w twórczości Chopina odegrała muzyka wielkiego Jana Sebastiana.
Wprowadzić świetny pomysł kolejnego ukazania portretów m.in. Bacha,
Beethovena, Schuberta a potem... „oryginału“ Chopina wskazuje wyraż-
nie na „muzycznych antenatów“ geniusza z Żelazowej Woli, brak jest
jednak ukoronowania sceny podkreśleniem stosunku Chopina do Bacha.
Nie wykorzystano też epizodu występu Paganiniego — co prawda pod-
kreślone zostało jego znaczenie dla utwierdzenia się Chopina we wła-
snym artystycznym „credo“, ale skończyło się na improwizacji przy for-
tepienie i jeszcze jednej „wypowiedzi“ Chopina w drodze powrotnej
z koncertu. Również tylko „wypowiada się“ Chopin (w ogóle zbyt dużo
jest w filmie „wypowiedzi“, a zbyt mało rozmów) o swoim stosunku do
muzyki Dobrzyńskiego: stracono okazie zwrócenia uwagi na przesładu-
jącą Chopina przez całe życie zmore „narodowej“ opery, do której napi-
sania przecież wszyscy niemal go namawiali. Są to jednak jedyne chyba
„muzyczne“ niedociągnięcia tego bardzo dobrego filmu.

Kazimierz Serocki (afisz głosi: „muzyka — Bach, Mozart, Pagan-
ni, Lanner, Serocki“) dobrze wywiązał się z trudnego zadania i zwy-
cięsko oparł się pokusie zbytowego — a idącego najczęściej po linii naj-
mniejszego oporu — „parafrazowania“ utworów Chopina.

Cyprian Norwid pisał o Chopinie, że był to „rodem warszawianin,
sercem Polak, a talentem świata obywatel“. Film przypomina, że zanim
stał się „obywatelem świata“, Fryderyk Chopin był „rodem warszawia-
nin“ i „sercem Polak“. I dlatego „Młodość Chopina“ powinna pojawiać
się jak najżybciej na ekranach zagranicznych.

Czesław Krzewski



Zbigniew SKOLAWSKI

Przy czarnej kawie z Gładkowską i Chopinem

ROZPOCZELIŚMY kręcić 6 lutego 1951 r. W sobotę.

To chyba był wtorek — zwał ją Konstancja Gładkowska.

— Na pewno sobota — stwierdził autorytatywnie Chopin. — Pamiętam doskonale ten przełomowy dla mnie dzień.

Byliśmy na kawie ze Śląską, Fordem i Wołkiewką. Kawa była dobra i mile współuczestniczyła w dyskusji.

— Kiedy rozpoczęła się praca nad „Młodością Chopina“? — podjął Ford wątek przerwany przez dwoje „bohaterów filmu“. — Opracowywanie scenariusza rozpoczęłem bezpośrednio po konkursie ogłoszonym przez „Film Polski“, wykorzystując nadesłane na konkurs materiały. Oczywiście podstawą były przede wszystkim prace źródłowe, listy Chopina, książki o Chopinie — głównie polska bibliografia.

— A pomyśl?

— Pomyśl powstał jeszcze przed wojną. Miałem wyraźną koncepcję filmu — ale nie miałem producenta. Chciałem sfilmować młodość Chopina, bo ten okres w jego życiu był pomijany we wszystkich filmach. A przecież jest to okres zasadniczy. W nim tkwią źródła jego twórczości, jego późniejsze utwory są zdeterminowane przez młodość.

Ford nie lubi mówić. Indagowany na konferencji wskazał ręką białe płótno na ścianie: „Wypowiedziałem się na ekranie“ wyjaśnił. „Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia“ dodał. Teraz mówił wolno, eichym, jakby nieśmiały głosem, ważąc każde słowo, dopomagając sobie dyskretnymi gestami rąk. Za zielonkawymi szklami okularów jego oczy błędziły po ścianie szukając lepszej, bardziej precyzyjnej odpowiedzi.

— Zdawałem sobie sprawę, jak wiele zależy od odtwórców roli Gładkowskiej i Chopina. Zastrzegłem sobie nawet w kontrakcie, że jeżeli nie znajdę odpowiednich aktorów, to nie będę robił filmu. Zaczęłem poszukiwać aktorów jednocześnie z opracowywaniem scenariusza.

— Pamiętam, że nie było jeszcze gotowej roli tak, że próbne zdjęcia nakręcałem na tekście „Lata w Nohant“ — przypomniał Wołkiewko.

Ktoś zadał pytanie dotyczące podobieństwa Wołkiewki do Chopina. — To nie było najważniejsze — odpowiedział Ford. — Chodziło przede wszystkim o uchwycenie tej jakiejś wewnętrznej barwy, wewnętrzznego wyrazu.

— Trudno mi jednak pogodzić się z takim Chopinem, jakiego widzę na filmie — zaproponowała jedna z pań. — Zawsze wyobrażałam go sobie jako człowieka nerwowego, delikatnego, niemal histeryka — taki genialny kłębek nerwów. Tymczasem tu jest zdrowym, po prostu tylko subtelnym chłopakiem.

— Przecież w okresie młodości Chopin jeszcze nie był schorowany, zdeenerwowany, pozbawiony kraju i rodziny — bronił swojej koncepcji Wołkiewko.

— Wydaje mi się — uogólnił Ford — że panuje u nas jakieś zakłamanie w sprawie Chopina, w patrzeniu na jego postać.

— Przepraszam — a czy pan nie tworzy mitu, nie tworzy fałszywego obrazu np. w scenie odjazdu Chopina?

— Oponentka nie dawała za wygraną. — Wiemy, że Chopina żegnano uroczyście na rogatkach, że żegnano specjalnie napisaną na jego cześć kantatą. Tymczasem w filmie to wygląda inaczej.

Poszczególne fakty, naturalistyczne szczegóły nie są istotne w tym wypadku. Mówiłem już, nam chodziło o realizm, o prawdę o Chopinie.

— A czyż pożegnanie na rogatkach nie jest prawdą?

— Tu chodziło wydobycie wewnętrznej prawdy. Podnosi się u nas często nieistotne momenty z życia Chopina. Dla mnie ważniejszy niż kantanta (zresztą bardzo słaba) jest na przykład krajobraz...

— który wspaniale gra w tym filmie — dobiegło z boku.

... polski krajobraz, który żegna Chopin. Daleko ważniejszy niż banał kantanty.

— A sceny w Paryżu? Ten „żywy obraz“? Czy mamy prawo go tak przedstawiać?

— Nie mając doświadczeń osobistych — tłumaczył cierpliwie Ford — opierałem się na pisarzach, rzeźbiarzach i malarzach francuskich. A oni tak to właśnie przedstawiają. Cóż pani taka milcząca, pani Olu?

W przyćmionym świetle marcowego popołudnia drobna sylwetka Aleksandry Śląskiej ginęła ukryta w niszy kawiarni.

— Czekam, aż przypomniecie sobie o Gładkowskiej.

Przypomniał mi się. Co pani o niej powie? — Padło pytanie.

— Niewiele. Niewiele miałam materiału do tej postaci. Niewiele jej jest w filmie. Moja rola jest bardzo — jakby to określić — „zgaszczona“, tak że trudno mi było ukazać pełną, bogatą sylwetkę. Starłam się ukazać Gładkowską tak, by poprzez nią zbliżyć Chopina.

— Grane przez panią postacie — rozpiętość ról w filmach jest wielka — zawsze były pełne życia, natomiast Gładkowska jest trochę, no chociażby nawet w charakterystyce, trochę lalkowata.

— W założeniu miała być taką. Gładkowska czuje się związana z Chopinem dopiero w ostatnich momentach. Początkowo dominuje pobłażliwy stosunek do młodego muzyka, kokieteria jest jej zasadniczą cechą.

Forda odwołano do telefonu. Zaczęliśmy rozmawiać (jak to często bywa) o nieobecnych.

— Trzeba podkreślić szacunek Forda dla koncepcji aktora. Np. jedną ze scen kręciliśmy w dwóch wersjach: „jego i mojej“ — rozpoczęła Śląska.

— Tak, Ford pozostawia swobodę a jednocześnie pilnuje, by nie zgrywać się, jest bardzo czuły na każdą przesadę. Robi dużo prób, mało zdjęć powtarza — dorzucił Wołkiewko.

— W ogóle warunki pracy były bardzo miłe. Cały zespół był pełen

zapału. Roszkowska, na przykład, pracowała od szóstej rano, niemal własnoręcznie ubierała wszystkich, dbała o każdą haftkę i falbankę. Ta jej zaciekleść w pracy była wspaniała. Kostiumy były zawsze bez zarzutu — odezwała się w Śląskiej kobieta.

Wrócił Ford. Współpraca z aktorem? — Nie można wpadać w krańcowość i mówić tylko: „aktor tworzy film“ lub „reżyser, reżyser“. Nie ma narzucania koncepcji, jakiejś przesadnej zależności aktora od reżysera. Jest to tylko ich wzajemny kontakt, zrozumienie. Aktor ma swój pogląd i bardzo wiele zależy od niego.

Załowaliśmy wszyscy, że nie ma Serockiego. Mówić o filmie muzycznym (o takim filmie) bez muzyki? Dyskutowaliśmy o niespotykanym w filmach polskich doskonałym dźwięku, gdy nagle przypomniałem sobie.

— Dużo pan ćwiczył? — zapytał Wołkiewko. — Czy pan gra? — dorzuciłem widząc wesoły błysk w jego oku.

— Widząc fortepian wiedziałem, że to fortepian, bo ma klawisze, ale nie więcej — odpowiedział „młody Chopin“.



— To była praca — snuł wspomnienia — co dzień na Bielany do profesora muzyki. Potem już w czasie zdjęć w momentach przerwy inni mogli odpoczywać — a ja ćwiczyłem... Nade mną stał Serocki i dyrygował: raz, dwa, trzy, cztery — a gdy już wściekły ze zmęczenia, padając na nos z furią waliłem w klawisze Serockiego krzyczał: „Teraz kręcić, teraz! Wspaniale wygląda!“ O, ten pot, który pan widzi na ekranie, to prawdziwy! — westchnął. — Zresztą naprawdę rola kosztowała mnie dużo trudu. Każde pierwsze ujęcie było lepsze niż powtarzane. „Spalałem się“.

Posypały się wspominki. Śląska opowiadała jak osiem godzin musiała

(z wdziękiem) tańczyć walc a potem nogi miała „taaaaaakie“, jak trzy godziny razem z Wołkiewką kręcili się w obreży połączonej z kamerą po to, by na filmie ukazało się kilkanaście sekund, trwające zbliżenie tańca Gładkowskiej z Chopinem, o stuletnim chłopie-skrzypku (widzimy go wśród kapeli ludowej w scenie wesela), którego ojciec podobno grywał Chopinowi, a który niezmordowanie całymi dniami podczas zdjęć ciągnął smyczkiem po strunach i przyspiewywał.

— A czy pan jest zadowolony z filmu? — padł na koniec pytanie w stronę Forda.

— Odpowiem za miesiąc, gdy na to pytanie odpowie widz.

Ze stanowiska plastyka

— Omówi pan stronę plastyczną „Młodości Chopina“ — powiedział redaktor i zginął w kłębach dymu. Ten dym jeszcze bardziej podkreślił całą nieprecyzyjność zamówienia. „Strona plastyczna“ — co by to miało być... no, ale spróbujemy.

Idąc na film bałem się bardzo, że zobaczę obrazy przylegające do dźwięku „Chopin“ z siłą powszechnych wyobrażeń: płaczące wierzby, deszcz, zamglone dworki, fiołkowy cień Konstancji i Fryderyka i ostry profil na tle szyby. Na szczęście i na chwałę realizatorów tego wszystkiego nie było.

Raz tylko (scena koncertu Chopina na tle dworku w Żelazowej Woli) obraz filmowy zbliżył się do landshaftu i raz tylko w końcowej scenie „pochodu z Marsylianką“ mieliśmy uczucie teatralności. Ale poza tym był wartki żywioł filmowy — ruch, pędzące konie, dylizanse, rozruchy uliczne, taniec. Ten ostatni zasługuje na uznanie, zrobiony był istotnie świetnie i zapisał nawet nieczułą kamerę filmową.

Zamiast sentymentalnych ogólników, apelowania do łatwych reakcji uczuciowych, realizatorzy „Młodości Chopina“ starali się stworzyć wizję plastyczną epoki z całą historyczną precyzją. I rzeczywiście wszystko było uczciwie wystudiowane od bokobrodów Lelewela aż do fragmentów dawnej warszawskiej architektury.

Na naszą wyobraźnię plastyczną silnie jeszcze od widoków przyrody działał bogaty „album“ ludzkich twarzy. Film bardzo często operował zbliżeniem. Nie wiem czy z punktu widzenia filmowego nie nadużyto tego efektu. Dla nas, którzy szukamy twarzy ciekawych, ekspresyjnych, była to cała „uczta“. Nie tylko świetne były portrety historyczne Gładkowskiej, Elsnera, Lelewela, Czar-

torzyńskiego, Taganiniego, ale także cieszyła nas, zachwycała, podniecała cała przebogata galeria statystów.

Tu należałoby postawić kropkę i skromnie wycofać się z dyskusji. Ale film, który w pełni ukontentował nas plastycznie, nie nasycił nas z „innego punktu widzenia“. A że w tej materii jesteśmy profanem, prosimy o przyjęcie naszych uwag jako głosu widza. Nasz punkt widzenia to krzesło nr 384.

„Młodość Chopina“ nie zadowolili nas pod względem fabularno literackim. Nie wiem czy dlatego, że reżyser połączył scenariusz czterech różnych autorów, czy też z innych powodów — film zrobił na nas wrażenie czegoś, co dałoby się określić jako „sceny z życia Chopina“. To znaczy nie posiadał on wyraźnego początku i końca, logicznie rozwijającej się fabuły, był raczej zbiorem, świetnych niekiedy, scen, pełnych napięcia dramatycznego, ale mimo to nie był on dramatem, nie działał całąłością, dałby się kontynuować, skrócić lub w wielu szczegółach zmienić.

Dalej film cierpi na brak dialogów, mimo że sprawą tą, jak podaje program, zajął się Leon Kruczkowski. Zamiast dialogów użyto łatwej, a nie dramatycznej formy wypowiedzi. Elsner wypowiedział się o Chopinie, Czartoryski i Lelewel wypowiedziły swoje poglądy polityczne itd. Dlatego może także sylwetka Chopina, mimo dobrej gry aktora, wypadła blade. Ani razu (a były okazje!) nie pokazano Chopina błyskotliwego, dowcipnego światowca, jakiego znamy z jego wspaniałych listów. Zamiast tego był Frycek z dużym nosem, jeszcze większym talentem, ale poza tym ot takie „anielskie chuchro“.

Niebezpieczna była pogoń realiza-

torów za łączeniem muzyki Chopina ze zdarzeniami zewnętrznymi. Rozumiemy, że w filmie nie ma miejsca na przedstawienie skomplikowanych procesów psychicznych. Rozumiemy także, że realizatorom zależało na podkreśleniu ścisłego związku, jaki zachodzi między sztuką a rzeczywistością. Jednak wydaje się, że zagadnienie to uproszczono, co spłyciło muzyczną treść filmu i sugerowało myśl, że muzyka Chopina była prostą bezpośrednią i małą przetransponowaną reakcją na zdarzenia historyczne.

Skoro już zabrnęliśmy w tak delikatną materię, dodamy jeszcze ostatnią uwagę krytyczną. Jest w filmie taka scena w kościele: chłopcy z konserwatorium słuchają Mszy Świętej uczestnicząc w niej w sposób bardzo formalny. Na chórze rozlega się głos Konstancji, któremu wtóruje fałszywujący organista. Chopin biegnie na chór, „opanowuje“ organy, improwizuje, tak, że książę dwukrotnie odwraca się od ołtarza za słowem kończącym Ofiarę. Niech mnie już nazwą dewotem, ale powiem, że ten efekt w filmie przecież poważnym i kulturalnym wydawał się niesmaczny i nie na miejscu. Także wyraźna sugestia, że praktyki religijne miały przeciwdziałać wrzeniu rewolucyjnemu jest po prostu niepsychologiczna.

Na początek chwalił mi się, potem ganił mi się, więc teraz znów chyba wypada pochwalić. Bo, prawdę mówiąc, dzięki „Młodości Chopina“ spędziłem dwie godziny przyjemnie. I film chyba będzie miał powodzenie. Tylko że przeciętny widz nie analizuje przyjemności, a biedny recenzent musi.

Stefan Marthá



Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagnmayer, Dominik Horodyski, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przelakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71.880 26 Konto PKO — Nr 1 727. Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych kwartalnie 5.40 złotych. Drukarnia Akwileńska Warszawa, Tamka 3. Zam. 1091. 3-B-16197.